



Ruiny młyna, pamiątka bohaterskiej obrony miasta

LECH ROMANOWSKI

WOŁGOGRAD

MIASTO BOHATER

Zbieramy się w Warszawie — aby wyjechać na 2-tygodniowe wczasy zagraniczne, zorganizowane przez Zrzeszenie Studentów Polskich. Jest nas 34 osoby — studenci ze wszystkich prawie polskich uczelni. Mam być — kierownikiem — pilotem tej grupy. Trasa Moskwa — Wołgograd. A więc dobrze znana stolica Związku Radzieckiego i zupełnie jeszcze dla nas nieznaną Wołgograd — miasto bohater II Wojny Światowej. Będziemy tam jako jedni z pierwszych turystów. Miasto to dopiero w br. zostało udostępnione do zwiedzania zbiorowym wycieczkom turystycznym. Staniemy się więc jedną z pierwszych polskich grup, które zobaczą to prawie na nowo wybudowane wśród ruin — miasto. Załatwiamy więc kilkanaście spraw organizacyjnych, i o godz. 12.45 następnego dnia wyjeżdżamy pośpiesznym pociągiem do Moskwy. Wiele osób jedzie dopiero po raz pierwszy poza granice kraju, a więc z emocjami oczekują na przekroczenie granicy, na popularnych celników. Przychoǳą — już są, bardzo miłi, uprzejmi. W krótkim czasie już po „odprawie” — bez wrażeń, szybko i sprawnie. Celnicy rosyjscy „obsługują” nas jeszcze szybciej. Służba zdrowia sprawdza „ospe” i jesteśmy już w Brześciu — przesuwamy o 1 godz. zegarki, przesiadamy się do wagonów sypialnych. Po 14 godzinach wysiadamy w Moskwie.

Moskwa — dobrze znane polskim turystom miasto. A więc wspaniałe metro, piękny Kreml, Mauzoleum Lenina, Galeria Trietakiowska, Wzgórze Leninowskie, stacje na Łużnikach, stała Wystawa Osiągnięć Gospodarki Narodowej ZSRR, Cyrkorama itd., itd. Mimo 6-dniowego pobytu brakło nam czasu na zwiedzenie wszystkich zakątków tego „9-milionowego” miasta. Wyjeżdżamy do Wołgogradu. Po 20 godzinach jazdy expressem Moskwa—Wołgograd wysiadamy w tym „nowym” mieście. Przesuwamy znów o 1 godz. ze-

nie ma bodaj dziedziny, na której by się tak wszyscy „nie znali” i co najmniej tak nie czuli się upoważnieni do zabierania głosu — jak pedagogika.

I nic w tym dziwnego. Każdy z nas był obiektem, czyjejs działalności pedagogicznej (jest się przecież zawsze czyimś synem, córką, było się uczniem) doświadczyło się na sobie działalności wychowawczej rodziców, krewnych i różnych nauczycieli. Było się więc biernym uczestnikiem rozmaitych wychowawczych zabiegów, a stąd rodzi się „prawo” do osądzenia skuteczności takich lub innych metod wychowawczych czy dydaktycznego działania.

Stąd jeszcze dziś z ust poniekąd starego Łodziaka usłyszy się takie zdanie:

— Panie w geyerowskiej szkole przez dwa lata więcej nauczyli jak teraz przez siedem...

Albo też:

— Jak kierownik dał hana — na pokładankę, to cały rok się pamiętało! I karność była. A teraz!

W opinii pani Kowalskiej nauczycielka jest przemila i taka „w ogóle”, jeżeli chwali jej Halinkę a gani Krysię pani Nowakowej. Niech tylko odważy się wypowiedzieć zdanie przeciwnie — ta sama nauczycielka będzie od razu „bez pojęcia” i „do kitu”.

A więc w opinii pani K. szkoła — nauczyciel będą wtedy dobrzy, jeżeli sprawa przyjemność jej p. K. mówiąc dobrze o Halince. Takie jest jej, pani Kowal-

skiej, kryterium oceny szkoły.

Podobnie zresztą jak pani Kowalska oceniają niekiedy pracę szkoły różne instytucje.

Według tych Instytucji nazwijmy je a, b, c, d, e, f, itd., szkoła jest wtedy i

tylko wtedy dobra, kiedy np.: młodzież gremialnie weźmie udział:

- w konkursie,
- w zbiórce,
- w akcji,
- w pokazie,
- w czynie,
- w Festiwalu,
- w Zakładzie,
- w Quizie,
- itd.

Niewątpliwie wszystkie te sprawy a, b, c, d, itd. są piękne, miłe, pozytywne, i ważne ale:

dla organizacji „a” jedy-

nym” kryterium oceny wartości pracy wychowawczej szkoły jest jej stosunek do zagadnienia „a”, podobnie ma się rzecz z organizacją b, z Instytucją c itd., itd. Ich laurki czy monity przesyłane szkołom — jakże często! oceny całej pracy szkoły —

MIECZYŚLAW WOZNIAKOWSKI

WYCHOWANIE - racjonalna NADZIEJA

wynikają ze stosowania swojego jednego kryterium...

I tu I Dygresja Osobista (również gwoli wytchnienia ob. Czytelnika): Nigdy nie miałem zaufania do świadectw szkolnych, na których od góry do dołu były wszystkie oceny bardzo dobre.

Nie wierzę, by bardzo dobry polonista był również celującym śpiewakiem, biologiem, sportowcem, technikiem i matematykiem.

Na pewno niektóre oceny były tu postawione, pod

garki i rozpoczynamy „nowe” życie.

Nasz przewodnik — przemili Sasza — aspirant Uniwersytetu Moskiewskiego, były student Uniwersytetu Warszawskiego, również jeszcze nie widział Wołgogradu. Na dworcu witają nas przedstawiciele Komsomolu — pracownicy Agencji Biura Turystyki „Sputnik” — Nadzia, Sasza, Eryk — później nieodłączni nasi przyjaciele — studenci uczelni wołgogradzkich. Jesteśmy więc w bohaterskim mieście. Mieście niezliczonej ilości pomników — Bohaterów II Wojny Światowej. Podziwiamy bohaterstwo obrońców miasta, podziwiamy wspaniałe pomniki. Sto-

Dalszy ciąg na str. 5



Aleja Bohaterów



Rok VI
Łódź, 13. X. 63.
Nr 41 (293)
Cena — 1 zł.

ZBIGNIEW NIENACKI

Nad materiałami XIII Plenum

O POTRZEBIE IDEOWOŚCI

Ostatnio miałem możliwość zapoznania się z kilkoma sprawami sądowymi dotyczącymi tak zwanych „afer gos podarczych”, różnego rodzaju „gangów”, które działały w niektórych gałęziach naszego przemysłu, (także i w Łodzi) i które zakończyły się poważnymi wyrokami skazującymi. Oczywiście, in teresowały mnie nie wyroki, ani nawet technika owych afer, ale w centrum mojej uwagi było to co zawsze jest najważniejsze dla pisarza — sfera moralna zagadnienia. Ciekawiło mnie kim byli ludzie, którzy niejednokrotnie przez kilka lat bezkarnie rozkradali mienie społeczne, jaki był ich rodowód, jaka mentalność, jakie morale. Odpowiedź na te pytania nie przyszła mi łatwo, ponieważ miałem do czynienia nie z jednym czło-wiekiem, ale z grupkami ludzi reprezentujących najróżniejszy poziom umysłowy, najróżniejszą przeszłość, najróżniejszy sposób myślenia i najróżniejszy stopień zaangażowania w życie swego kraju.

Albowiem, aby we współczesnym świecie dokonać naprawdę poważnej kradzieży — nie można działać w pojedynkę; nie wierzę, że działają pojedynczy złodzieje. Aby ukraść z zakładu kilkaset kilogramów przędzy, nie wystarczy „złodziej ska żyłka” nieuczciwego pana kierownika; trzeba, aby w tę sprawę wmięszany został i główny księgowy, i magazynier, i konwojent, i strażnik przy bramie i tak dalej, cały łańcuszek ludzi, tak różnych przecież i reprezentujących różny poziom umysłowy, a także pozycję społeczną. I co tu gadać — wystarczyłoby, aby jeden z tych osobników, jedno ogniwo w łańcuszku okazało się trwałsze, a kradzież nie mogłaby dojść do skutku. Tylko, że akurat w tym przypadku puściły wszystkie ogniwa, nie znalazł się ani jeden sprawiedliwy. I dodać trzeba że smutkiem: nie jeden wśród tych ludzi nosił przy sobie legitymację partyjną; był wśród nich nawet taki, który w młodości potrafił krew przelać dla swego kraju i miał wobec niego niemałe zasługi, a obdarzony zaufaniem — zawiódł w końcu jak najzwyklejszy rzezimieszek.

Dlaczego? Jaka była przyczyna aż tak wielkiego upadku człowieka, który zdecydował się przekreślić całą swoją przeszłość, napluć na nią, odwrócić się od niej, zohydzić ją?

Gdy mamy do czynienia z przestępstwem, zazwyczaj przychoǳą nam myśli ze szkolnej czytanki: może u-

Dalszy ciąg na str. 7

Żołnierze

OBCHODY dwudziestolecia Wojska Polskiego zbiegają się z 19 rocznicą powstania Milicji Obywatelskiej. Są to dwie instytucje drogie każdemu Polakowi. Narodziny jednej i drugiej poprzedzał ten sam znak rozpoznawczy, biało-czerwona opaska. Była jeszcze noc niewoli i ludzie z poczucia obowiązku nakładali opaski, brali do ręki karabiny i szli na służbę. Ta czerwień i ta biel miała określoną treść. Stare hasło „za naszą i waszą wolność” przybierało nowego blasku. Podkreślali to łódzcy komuniści wydając pismo „Front Walki za Naszą i Waszą Wolność”. W 25 rocznicę Rewolucji Październikowej (1942 r.) Komitet Warszawski PPR wydał odezwę, w której zaznaczył, że przymierze narodu polskiego z narodami Związku Radzieckiego wyrosło na gruncie wspólnej walki. „Walka radzieckich narodów jest dla nas pomocą i otuchą. Nasza walka będzie godnym wypełnieniem braterstwa broni, które łączy nasze narody... warunkiem ocalenia naszego narodu jest czynny udział w wojnie...”

Ludzie z opaskami szli do lasu, walczyli z wrogiem. A kiedy front przesunął się pod samo legowisko wroga (z armiami radzieckimi szły już regularne pułki i dywizje polskie), drudzy, którzy zostali w kraju, nakładali również biało-czerwone opaski, brali do ręki karabiny, pilnowali fabryk, opuszczonego miasteczka, spokoju obywateli. Dzisiaj rzadko kiedy wymieniamy ich nazwiska i imiona. W powieści „Ucieczka z ziemi obiecanej” pisarz nadaje dowolne nazwiska robotnikom pilnującym fabryki: jest tam Dąbrowa, jest majster Gawlik. Byłych zakładów Biedermanna pilnowali: Gruszczyński, Kopiczewski, Antczak, Rosiak, Sobczak i inni. Nazwiska powieściowe i nazwiska autentyczne stają się dziś symbolami. Ludzie ci szli na służbę nie dla pieniędzy, nie dla osobistych korzyści, ale w imię tej prawdy, o której mówiła karta PPR: „Pokonanie wspólnego wroga, osiągnięcie niepodległości, dobrobytu i kultury, zniszczenie wraz z przekleństwem ustrojem kapitalistycznym raz na zawsze przekleństwa wojny, ustalenie braterskiej współpracy wolnych, równych, szczęśliwych narodów...” Padali gęsto na tej służbie. Ginęli ci na froncie, i ginęli ci w kraju, padali od kul wroga, który strzelał z ukrycia. To ja piszę te słowa, który został ocalony, ochroniony, przyjęty do nowego. Którego uczono jak pracować i któremu zabezpieczono spokój. Ja i moi przyjaciele, sąsiedzi z tej ulicy i z tamtej. Z Piotrkowskiej, Wólczoskiej, Klińskiego, Narutowicza. Ja piszę w imieniu tych wszystkich, którzy żyli w spokoju, od których odsunęto widmo Oświęcimia i łapanki. Ja piszę, któremu pozwolono pracować, gdy inni narażali swoje życie: na froncie berlińskim, lub tutaj w tym mieście i na wstępie nowego życia. Był wówczas maj, kiedy dobiegano wroga w legowisku berlińskim i po raz pierwszy nad

naszym miastem latały pokajowe, ogniste kule i sztuczne ognie.

Wyszliśmy do parku, na ulice miasta, już teraz wolnego, pytaliliśmy się nawzajem, jakie nas czeka życie, jaki to będzie czas, który nadchodzi.

I oto dzisiaj, po dwudziestu latach, możemy z większą ufnością spoglądać w przyszłość. Nie tylko dlatego, że naszego życia chroni nowoczesna armia, wyposażona w najnowsze zdobycze techniki wojkowej; i nie tylko dlatego, że naszego ładu wewnętrznego strzeże szary żołnierz pokoju — milicjant. Czerpiemy otuchę z faktu, że jest to milicjant ludowy; i że jest to armia ludowa. „Jedną z najistotniejszych cech ludowości naszej armii — mówi w wywiadzie prasowym szef Głównego Zarządu Politycznego WP gen. dyw. W. Jaruzelski — jest jej jedność ze społeczeństwem, stała gotowość i aktywność w działaniu dla jego dobra... Głębokie zaangażowanie ideowe żołnierzy, ich oddanie narodowi oraz przekonanie o słuszności i zwycięstwie sprawy socjalizmu — to fundament gotowości bojowej ludowych sił zbrojnych”.

I nie tylko dlatego spoglądamy z ufnością w przyszłość, że mamy taką armię, i z takiego ducha wyrosła milicja, że w dużej mierze zaleczyliśmy rany wojenne, odbudowaliśmy wiele miast i wsi, stworzyliśmy silny przemysł. Ale i dlatego, że przymierze narodu polskiego z narodami państw socjalistycznych, a przede wszystkim z narodami Związku Radzieckiego, „które wyrosło na gruncie wspólnej walki” (w szeregu Wojska Polskiego i za sprawą polską ginieli radzieccy generałowie, pułkownicy, majorzy, młodzi oficerowie, szeregowcy), nabrało cech trwałej przyjaźni i współpracy. Świadomość takiego braterskiego sojuszu jest dla nas, jak przed dwudziestu laty, pomocą i otuchą.

My to piszemy, ludzie, którzy mamy za sobą dwadzieścia lat pracy w spokoju. My, robotnicy, rzemieślnicy, nauczyciele, urzędnicy, artyści, mieszkańcy Łodzi i województwa, miast i wsi, wszyscy, którzyśmy ocalili z pożogi wojny i organizujemy nowe życie. I kiedy dzisiaj, w dwudziestą rocznicę Wojska Polskiego Rada Państwa mianuje Marszałkiem Polski gen. broni Mariana Spychalskiego, syna robotniczej Łodzi — odczytujemy ten akt jako dowód uznania dla jego talentów dowódcy, jego pracy i idei, którą On reprezentuje. Kiedy dzisiaj bierzemy udział w uroczystościach organizowanych przez Wojsko — dajemy wyraz naszej jedności — armii i narodu. Kiedy bierzemy udział w uroczystościach Milicji, podkreślamy nasz związek z tymi wszystkimi, którzy nie szczędzą swych sił w służbie dla kraju i rodzinnego miasta.

TADEUSZ PAPIER

EWA SULIBORSKA

Łodzianie
1963



EUGENIUSZ AJNENKIEL

Eugeniusz Ajnenkiel pośród obywateli naszego miasta zajmuje stanowisko wyjątkowe. Działacz i społecznik niebawem obchodzić będzie pięćdziesięciolecie swojej działalności partyjnej. Rzeczą historyka będzie spisanie barwnych dzieł kariery politycznej Ajnenkiela, zanotowanie i ocenienie jego działalności w okresie dwudziestolecia międzywojennego i jego działalności w czasach powojennych. My zapiszemy tu tylko, że nazwisko Ajnenkiela związane jest z ruchem robotniczym, że był jednym z przywódców partyjnych z ramienia PPS, a potem PZPR. Trudno wyliczyć tu wszystkie zasługi Ajnenkiela, wszystkie sprawowane przez niego urzędy, wszystkie dokonane prace. Był jednym z twórców i inicjatorów TUR i Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, współtwórcą Domu Robotniczego na Wodnej, długoletnim prezesem spółdzielni mieszkaniowej „Lokator” itd.

Ajnenkielowie wywodzą się z Szadku, ale Eugeniusz Ajnenkiel jest już łodzianinem, w tym mieście się urodził i wychował. Mając lat dwanaście, czy trzynaście zaczął pracować czyszcząc cegły na budowie, był członkiem partii, mając lat piętnaście, a znanym działaczem nie skończywszy lat dwudziestu. Na skrzyńce pocztowej domu, w którym mieszka przy ul. Lokatorskiej wisi wizerunek „Eugeniusz Ajnenkiel — urzęd-

nik”, choć doszedł do wysokiego stanowiska — pracodawcą, był wiceprezydentem miasta, szefem propagandy, choć jest od lat posłem do Sejmu, choć sprawuje szereg urzędów publicznych.

„Wbrew pozorom — mówi prezes izby poselskiej — praca posła jest ciężka i wyczerpująca. Nasze obowiązki nie sprowadzają się tylko do uczestniczenia w sejmowych sesjach — wiosennej trwającej od kwietnia do lipca i zimowej — trwającej od października do marca. Sesje to tylko niewielki wycinek działalności posła. Właściwa praca, to praca w komisjach sejmowych i praca w terenie.

Eugeniusz Ajnenkiel posłuje już lat piętnaście. Był z ramienia PPS w latach 1945-46, członkiem Krajowej Rady Narodowej, był posłem do Sejmu Ustawodawczego w latach 1947-52, Sejmu, który uchwałił Konstytucję. Referował trzykrotnie na sesji sejmowej budżet naszego państwa. Jest wiceprzewodniczącym Komisji Budżetu i Finansów, jest członkiem Komisji Kultury.

Nim projekt ustawy — mówi Ajnenkiel — przedstawiony

Dalszy ciąg
na str. 10

Dokończenie
ze
strony 1

są przygotowani słabo, a już z matematyki i fizyki — źle.

Ostatnie Plenum stwierdziło fakt, że wprawdzie władze szkolne uczyniły duży wysiłek w kierunku opracowania nowych, lepszych programów i podręczników — ale, skoncentrowawszy uwagę na wynikach nauczania, straciły w pewnym sensie z pola widzenia fakt, że siła wychowawczego oddziaływania zarówno samej szkoły jak i organizacji młodzieżowych osłabła...

Z drugiej strony podnoszą się coraz częściej głosy, czy nie należy szukać jakichś nowych dróg kształcenia. Przy tak szybkim rozwoju nauki i techniki, przy potrzebie coraz bardziej wyspecjalizowanych, wysoko-kwalifikowanych kadr rodzi się pytanie, czy istotnie wydłużanie obowiązkowej nauki szkolnej jest tu właściwym wyjściem. Wprowadzamy ośmiolatkę, nastąsiedzi mają już 9-letnią obowiązkową szkołę podstawową, myślą się o dziesięcioletniej... Czy istotnie tędy droga? Łączny okres nauki (minimalny) do ukończenia pełnych studiów wyższych już dziś sięga 19-20 lat. Do czego to doprowadzi za lat 10, 50?

str.
2

odlatosy

WYCHOWANIE - RACJONALNA NADZIEJA

Czy nie należałoby już wcześniej wprowadzać systemu nauki fakultatywnej? Ba! Ale jak to zrobić?...

Należałoby próbować jakiejś zupełnie innej organizacji nauczania. Znieść tradycyjny, od wieków uświęcony system klasowo-lekcyjny.

Leb pęka...

A tu coraz częściej poniekąd psycholodzy i pedagogicy stwierdzają, że jest jakaś paląca konieczność dostrzeć oczywisty i prosty fakt, że dzieci się b. różnią między sobą, że jakis wybitnie uzdolniony matematyk może mieć potworne trudności w wypisaniu się n.t. powiedzmy „Siły fatalnej” poezji naszego Wieszcza.

Młodego poety czy plastyka nie można chyba pozbawić matury — prawa wstępu na wyższą uczelnię dlatego, że w żaden sposób nie może dowiedzieć, dla jakich wartości i pewne równanie „wychodzi” lub nie.

Jak to się nazywa? Indywidualizacja wymagań? Większe, bardziej zasadnicze liczenie się z psychiką dziecka?

Uf! Jakaś skomplikowana historia! A niebezpieczna!... I tu pozwól, Drogi mój Czytelniku (o ileś dotąd dobrał) dla nas obydwu, dla Ciebie, o Cierpliwym i dla mnie.

II Dygresja:
Kiedy poznaję człowieka w każdym calu i w każdej minucie „pryncypialnego”, ogarnia mnie niepokój. Ki diabeł w nim siedzi?

Przerażeniem napawa mnie taki ideologiczny MONOLIT. Za kapotę trzeba takiego przytrzymywać, żeby za wcześniej nie wniebowstąpił.

Oddycham z ulgą, kiedy ujawnia się jego michełek, kon'k, hobby, szmergiel, czy jak to tam nazwać. Ze on poza tym, że jest doktorem obojga praw, gra na wiołonczeli, jest wędkarzem, filatelistą, lubi kanarki, hoduje egzotyczne rybki, układa pasjansa, kolekcjonuje monety starogreckie... Teraz — w porządku...

Myślę, że i szkoły, o ile mają być żywymi organizacjami, niech by sobie miały jakieś takie sympatyczne michełki... (w jednym będzie to orkiestra na ustnych harmonijkach, w innym — tradycje majówek wspólnych dzieci z rodzicami, szkółki lyżwiarzkiej, drużyny hokeja na trawie, hodowli jedwabników, wystaw plastycznych uczniów i absolwentów, balów kostiumowych itd.).

Sympatyczne są także michełki — pod warunkiem (tu już porzuciłem, o Czytelniku, II Dygresję, a pozwalam się nieść zasadniczemu nurtowi, tej przydługiej, sądzię, dysertacji), że nie straci ona nigdy z oczu celu najważniejszego: właściwego oddziaływania wychowującego.

Właściwego tzn. kształtującego przez naukę, dobór słusznych metod, uwzględniających psychikę dziecka

— postawę człowieka mądrego, nowoczesnego i bezgranicznie oddanego służbie swojej socjalistycznej ojczyźnie.

Jak to zadanie wykonać w sukurs przychodzi nauczycielowi — wychowawcy, pedagogika.

Z radością i optymizmem stwierdzimy fakt chyba oczywisty, że oto po okresie zastojów w latach tzw. kultu jednostki rozwijać się zaczyna polska pedagogika socjalistyczna. Pedagogika która służy „wychowaniu dla społecznej naprawy ludzkiej cywilizacji”, „dla nowej i realnej przyszłości społecznej”, opierając się na działaniu „wielkich mas ludzkich, tworzących przyszłość”. (B. Suchodolski: „O czynnikach postępu i hamulcach rozwoju nauk pedagogicznych”. „Ruch Pedagogiczny” Nr 2/63).

Efektywna, celowa i właściwa praca nauczyciela w Polsce Ludowej jest możliwa tylko w oparciu o znajomość pedagogiki socjalistycznej. Z drugiej strony rozwój socjalistycznej pedagogiki, a więc pedagogiki dynamicznej a nie normatywnej zapewnić może tylko i wyłącznie jej ograniczony, na co dzień związek z twórczą, śmiałą praktyką.

Praktyką pionierską, odważną, mającą jako cel główny wyzwalenie u dziecka inicjatywy, postawy twórczej, zaangażowanej.

Odwolanie się do ogółu nauczycieli, do ich inwencji,

wzwanie nauczyciela — praktyka do współtworzenia kształtu i treści nowej socjalistycznej a przecież polskiej szkoły stało się faktem.

Ostatnie zarządzenie Ministra Oświaty „w sprawie organizowania i prowadzenia szkół i innych placówek oświatowych dla celów eksperymentalnych” (przydługą trochę ten tytuł) i „wytężenie” do niego nadają sakrę urzędową tej palącej potrzebie. Rzeczą władz szkolnych, ośrodków metodycznych, instytucji związkowych i sprawa ambicji szerokiej mas nauczycielskich będzie dokonanie zrywu w dziedzinie doskonalenia pracy dydaktyczno-wychowawczej naszych szkół.

Łódź ma swoje piękne tradycje w dziedzinie nowatorstwa pedagogicznego.

Z okresu międzywojennego przykładowo można by tu wskazać: Szkołę Pracy R. Petrykowskiego, próby wprowadzenia systemu daltonistycznego w gimnazjum im. Szczanieckiej, b. ciekawe wdrażanie młodzieży do pracy naukowej i społecznej Z. Lorentza w Gimnazjum Miejskim.

Już w Polsce Ludowej: organizacja pracy samorządu w III L.O. eksperyment z klasami wyrównawczymi w Szkole 101, ostatnio: akcja wcześniejszych i zreorganizowanych zapisów do klas pierwszych połączona z otwarciem ognisk przed-szkolnych dla dzieci z opóźnioną dojrzałością szkolną,

5 szkół realizujących pełniejszą świadomość celów nauczania wśród dzieci i rodziców, tzw. „szkoła wakacyjna” itd.

Były to wszystko jednak akcje nieco partyzanckie, akcje wolontariuszy, zapalcieńców, na ogół bez poparcia władz, bez naukowo określonych celów i metod.

Zarządzenie Ministra Oświaty określające kierunki, formy i zakres działania szkół wiodących, eksperymentalnych i eksperymentujących stawia sprawę nowatorskich, twórczych poszukiwań nauczycieli jako rzecz konieczną, warunkującą postęp szkoły polskiej. Jeżeli poczynania nauczycieli znajdą należyte poparcie ze strony władz oświatowych, ośrodków metodycznych i placówek naukowych, będziemy, być może, świadkami renesansu szkoły polskiej.

Potrzeba tu jeszcze jednej, niezmiernie ważnej rzeczy — życzliwego poparcia społeczeństwa. Wielka praca nad pogłębianiem siły wychowawczego oddziaływania szkoły polskiej wymagać będzie bowiem dużego wysiłku, skupienia i chyba — ciszy, spokoju...

Niech zatem umilkną nieco „działacze społeczni”, którzy chcieliby co kilka dni podrywać szkołę do jakichś akcji.

Rozpoczyna się w niej bowiem głęboka rewizja dotąd stosowanych metod, przekazywanych treści, chce ona bowiem lepiej niż dotąd służyć wielkiej sprawie wychowania.

A wychowanie, jak to pięknie i mądrze powiedział B. Suchodolski „jest zawsze racjonalną nadzieją”.

MIECZYSLAW
WOŹNIAKOWSKI

Ze świata filmu

Jak już naszym Czytelnikom zapewne wiadomo, syn znakomitego aktora Errola Flynna — Sean Flynn, wstąpił w ślady ojca i wybrał również karierę filmową. Sean nakręcił już parę filmów m. in. nową wersję „Znaku Zorro”, „Sy na kapitana Blooda” itd. A oto credo „filozoficzno-artystyczne” młodego aktora: „Gram w filmach i za pieczęcią jak za to otrzymuję mogę sobie pozwolić na prowadzenie przyjemnego życia, na podróże i na zabawę, słowem na życie jak mi dyktuje moja fantazja. Oczywiście w Europie, a nie w Ameryce. Życie w Europie jest trzy razy tańsze i ta sama suma pieniędzy wystarczy na trzy razy dłuższy okres czasu dzięki czemu mogę dłużej nie pracować. Kiedy już jestem splukany co do grosza, wtedy zaczynam kręcić następny film”.

Po tym dość osobiście i żenującym wyznaniu młody aktor dodaje: „90 proc. filmów produkowanych na świecie nie posiada żadnej wartości. Widziałem tylko dwa dobre filmy: „Harakiri” i „Balladę o żołnierzu”. Zapytany o to jaką rolę chciałby zagrać Flynn junior odpowiada bez zęnaty: „To nie ma właściwie żadnego znaczenia, gram tylko dla pieniędzy. Czasem jakaś rola może otworzyć aktorowi wrota wielkiej kariery, tak się trafiło Peter O'Toole w „Lawrence z Arabii”. Prawdziwy los na loterii ale to jest już coś warte”.

Nowy film Federico Felliniego nosić będzie tytuł „Giuiletta i jej upiory”. Główną rolę żeńską obejmie żona reżysera, Giuletta Masina. Temat filmu na razie owiany mgłą tajemnicy. Brat Felliniego — Riccardo, twórca wyświetlanej na Festiwalu w Wenecji „Historii na piasku” pracuje obecnie nad scenariuszem swego nowego filmu „Ostatnie lato”. Osłą filmu jest dramat człowieka niewidomego, który pragnie zobaczyć morze.

Najpotężniejszy europejski producent filmowy Dino de Laurentis kręci obecnie we Włoszech, Egipcie i Hiszpanii supergiganta filmowego pod obiecującym tytułem „Biblia”. Budżet filmu przekroczył już 20 milionów dolarów. Przy realizacji filmu współpracuje wielu znakomitych reżyserów m. in. Luchino Visconti i Orson Welles. W „Biblii” wystąpi także sama Soraya, prawdopodobnie u boku Peter O'Toole.

Gina Lollobrigida rozpoczyna drugi czy też raczej trzeci etap swej kariery. Piękna Włoszka postanowiła zostać „prawdziwą artystką”. Na dowód szczerości swych intencji pozwoliła się nawet nieco oszpecić w filmie Castellaniego „Szalone morze”. Film ten nie odniósł jednak spodziewa-

nego sukcesu. Poświęcenie Lollobrigidy nie znalazło należytego uznania. Mimo to jej decyzja pozostała niezachwiana. Ma na wet zamiar zadebiutować na deskach scenicznych, ale nie we Włoszech, tylko w Paryżu, Londynie lub na Broadwayu. Obecnie Gina kręci w Anglii film pt. „Słomiana kobieta”.

Sophia Loren i Marcello Mastroianni grają razem w nowym filmie Vittorio de Sici „Wczoraj, dziś, jutro”. Autorem scenariusza jest oczywiście Cesare Zavattini. Film składa się z trzech noweli i utrzymany jest w lekkim, trochę ironicznym, a trochę satyrycznym tonie. Jak twierdzą aktorzy praca z De Sicą to prawdziwe wakacje. Świetnemu reżyserowi nigdy nie brakuje humoru, dowcipu, weny i świeżości natchnienia.

Vittorio Gassman gra w nowym filmie reżyserii Dino Risi pod zachęcającym tytułem „Potwory”. (obok zamieszczamy fotos z tego filmu). Wielbicieleki przystojnego włoskiego aktora będą tym razem prawdopodobnie nieco zaskoczone. Ujrzą go bowiem w skórze i szatach młodej poetki epatującej swym intelektem i usiłującej wprowadzić w świat literacki swego protegowanego, którego darzy względami z przyczyn raczej pozartystycznych. Film w całości jest ostrą satyrą na pew-

ne literackie i artystyczne środowiska Rzymu.

Wspominaliśmy już kilka razy o zjawisku mody na Morawię w świecie filmu, zwłaszcza wśród reżyserów młodego pokolenia. Włoski producent Carlo Ponti próbuje wyjaśnić przyczyny tego zjawiska: „Powieści Morawii są bardzo typowe dla psychiki naszej epoki. A twórcy młodego pokolenia najlepiej potrafią odtworzyć ich zmysłowy i tak znamieny ze społecznego punktu widzenia klimat. „Jean-Luc Godard ukończył już realizację „Pogardy”. Obecnie Damiano Damiani kręci „Nudę” z Catherine Spaak i Horstem Buchholtzem w rolach głównych.

Ava Gardner po dłuższej przerwie wróciła na Iono X Muzy. Najpiękniejsza kobieta świata gra u boku Burta Lancastera i Kirka Douglasa, w filmie „Siedem dni w maju” reżyserii Johna Frankenheimera. Akcja filmu rozgrywa się w wesołych sferach Ameryki. Ava Gardner nigdy nie lubiła dziennikarzy i fotoreporterów ale teraz dosłownie ucieka przed nimi. Zyskała sobie nawet przydomek upiora wytwórni, gdyż znikła i pojawia się w sposób tajemniczy i nieoczekiwany niczym duch.



Vittorio Gassman jako młoda poetka w filmie „Potwory”

MK.



© Reż. W. Fietin autor wyświetlanego na naszych ekranach filmu „Tygrysy na pokładzie” realizuje w okolicy stacji Rozdorskiej „Donem” film fabularny na podstawie opowiadań Michała Szolchowa „Opowieść donska”. Główne role grają: F. Leonow oraz Ludmila Czursina, aktorzy z Teatru im. Stanisławskiego i im. Wachangowa. Muzykę do filmu napisał W. Solowjow-Siedoj.

© Ministerstwo Kultury Związku Radzieckiego oraz Zarząd Główny Związku Pracowników Kultury przyznały nagrody pieniężne następującym grupom realizatorów filmowych: grupie zdjęciowej filmu „Teraz niechaj odejdzie” z „Mosfilmu”, realizatorom filmu „Bohaterowie nie umierają” z Centralnej Wytwórni Filmów Dokumentalnych w Moskwie oraz Sergiuszowi Michałkowowi i nazelnemu redaktorowi Wszechzwiązkowej Satyrycznej Kroniki Filmowej „Fital”.

© Długoletnia dublerka Sophia Loren — Scilla Gabel już od kilku lat gra „na własne konto”. Po całym szeregu ról w miernych filmach o charakterze komercyjnym powierzone jej obecnie jedną z głównych ról w filmie nowelowym ambitnej spółki reżyserkiej — Orsini i bracia Taviani zatytułowanym „Małżeństwo poza prawem”. Tematem filmu są moralno-prawne problemy małżeństwa we Włoszech.

© W Londynie reż. Basil Deardon realizuje film zatytułowany „Słomiana kobieta”. W roli głównej po raz pierwszy w filmie brytyjskim występuje Gina Lollobrigida.

© Znany producent i reżyser amerykański Stanley Kramer, autor filmu „Wyrok w Norymburdze” zrealizował swój kolejny nowy film „Zupełnie zwariowany świat”. Jest to zakrojona na wielką skalę komedia zrealizowana w cinerama z udziałem między innymi Bustera Keatona i Spencera Tracy. Projekcja tego filmu trwa 183 minuty, a jego prapremiera odbędzie się w listopadzie br. w Los Angeles. Stanley Kramer przystąpił już do realizacji następnego, 29 z kolei filmu — „Określenie” opartego na motywach powieści Katarzyny Anny Porter, bestselleru 1963 r. w Stanach Zjednoczonych.

© Znani z głównych ról w trylogii filmowej o przygodach proboszcza Don Camillo — Fernandel i burmistrza Peppone — Gine Cervi wystąpią znowu razem w realizowanym obecnie w Paryżu filmie „Król Dagoberth”.

A. N.

ALEKSANDER NIESMIAŁEK

OGLĄDAMY NA EKRA-NACH

W październiku jak co roku trwają DNI FILMU RADZIECKIEGO. Z tej okazji ujrzymy kilka nowych filmów kinematografii radzieckiej. Sergiusz Gierasimow należy do znanych reżyserów radzieckich, jest autorem takich filmów jak „Spotkanie z Maksymem”, „Młoda Gwardia”, „Cichy Don”. Nowy film Gierasimowa „LUDZIE I BESTIE” to epicki obraz losów człowieka ukazanego na tle całej złożoności lat powojennych w Związku Radzieckim i na Zachodzie. Aleksiej Pawłow jest bohaterem, którego osobowość, oblicze ukształtowane zostały przez wojnę, niewolę, emigrację w Kanadzie i Argentynie, wreszcie także przez niełatwą decyzję powrotu do ojczyzny. W tym epickim filmie zbyt może rozbudowanym, wielowatkowym, Gierasimow dał wiele materiału obserwacyjnego o współczesnym życiu w Związku Radzieckim. Obserwacji odtworzonych w filmie z realizmem, ale bez uciekania się do szabloności i schematów. W „Ludziach i bestiach” oglądamy znane nam aktorki: Tamare Makarowa („Przysięga”, „Opowieść o prawdziwym człowieku”) i Zanne Bołotowa („Dom w którym żyjemy”). W roli głównej występuje Mikołaj Jeremienko.

Bezpretensjonalną komedią z widocznymi założeniami dydaktycznymi jest „SIEDEM NIANIEK” w reżyserii Rosłana Bykowa, który debiutuje jako samodzielny reżyser filmowy. To komedia oparta na autentycznej notatce prasowej, donoszącej o brygadzie młodzieżowej, która postanowiła opiekować się młodocianym przestępcą z domu poprawczego, obfituje w cały szereg zabawnych sytuacji. „Siedem nianiek” cieszyło się w Związku Radzieckim dużym powodzeniem tak u publiczności jak i u krytyków. Nieco inny charakter ma komedia radziecka zatytułowana „HASZEK I JEGO SZWEJK” zrealizowana przez reż. Jurija Ozierowa przy współpracy kinematografii czechosłowackiej. Film jest biografią Jarosława Haszka, w której podjęto próbę ukazania źródeł narodzin znanej postaci powieściowej wojaka Szwajkara. Oczywiście, nie jest to relacja biograficzna o charakterze dokumentalnym, ale przede wszystkim film ze sporym ładunkiem humoru, groteski, a nawet ironii. W roli Haszka wystąpił Józef Abrahm, młody aktor czechosłowacki. W jednej z głównych ról oglądamy dwóch znakomitych autorów czechosłowackich Jarosława Marviana („W matni”, „Orkiestra z Marsa”, „Anioł w górach”) i Franciszka Filipowskiego („Zadzwonić do mojej żony”, „Moralność pani Dulskiej”). Film jest niejednorodny, wynika to już z samych chyba założeń połączenia filmu biograficznego z komediodramatem, groteską. Dodac należy, że film Ozierowa reprezentował m. in. kinematografię radziecką na ostatnim festiwalu filmowym w Wenecji, gdzie spotkał się z dość przychylnym przyjęciem.

Wśród innych filmów aktualnie rozpowszechnianych — komedią wesołą i nie pozbawioną swobodnego wdzięku jest „TELEFON TOWARZYSKI” w reżyserii Michela Gordona z popularną Doris Day i Rock Hudsonem. Prosta fabuła o kłopotach i wynikających z nich sytuacjach korzystania ze wspólnego telefonu towarzyskiego łączącego miłą, piegowatą blondynkę z przystojnym brunetem — kompozytorem piosenek, jest pretekstem do stworzenia wielu zabawnych sytuacji. Sympatyczny wykonawcy, kilka ładnych piosenek, dobre tempo, utrzymanie całości w formie farsy, to niewątpliwie walory, które zapewniają powodzenie filmu.

W pewnym stopniu rozczarowuje inny film amerykański, którego autorem jest znany twórca westernów „Złamana strzala” „15.10 do Yumy” — reż. Delmer Daves — „RANCHO W DOLINIE”. Historia „człowieka znikąd”, który okazał się szlachetny i bohaterem jest szeroko znana i dość często powielana w różnych filmach. Nie to zresztą stanowi mankament wymienionego filmu. Wadą rażącą jest nadmierne moralizowanie i spłykanie motywacji psychologicznej bohaterów. W rezultacie zamiast ciekawego westernu z podtekstem psychologicznym oglądamy czasami irytujący, kliwowy melodramat. W „Rancho” gra znany z filmu „Marty” Ernest Borgine oraz Gleen Ford, którego mieliśmy możliwość już oglądać w amerykańskim filmie o kidnaperach „Okup”.

Okiem widza filmowego

KOMEDIA EGZOTYCZNA

Honor, honor splamiony zdradą małżeńską, który można odkupić tylko krwią; małżeństwo jako nierozdzielny związek dwojga ludzi, który może przestać istnieć jedynie po śmierci jednej ze stron. Jakże to przestarzałe pojęcia, czy mówią one coś jeszcze komuś z nas?

Tak już czasem bywa, że obejrzenie komedii nastraja nas poważnie. Po wyjściu z kina, gdzie widziałam „Rozwód po włosku” wpadłam jak zwykle na kawę do malej kawłarenki. „Wiesz już?” — powitała mnie przyjaciółka — „Marysia wychodzi po raz trzeci za mąż, za tego Zdzisława, który się właśnie rozwiódł ze swoją drugą żoną”. Dalszy ciąg rozmowy był tak zawiły, że nie potrafiłabym go odtworzyć, mieszają się w nim roje byłych żon i byłych mężów, którzy jak w kontredansie przechodzili z jednej pary do drugiej.

Cóż, to jeden z najgorszych grzechów naszej epoki, w niektórych środowiskach uważano ślub jak i rozwód traktuje się bardzo lekko, decyzję w tej mierze podejmuje się łatwo i szybko, często z zadziwiającą bezzmysłowością.

Stuchając pośpiesznego terkotu piteczek wspominałam znów chmurne niebo Sycylii, ponure zauki prowincjonalnego miasteczka, wśród których rozbrzmiewają nastrojowe, sentymentalne melodie i zamysłona, zacięta twarz Mastroianniego.

Ten film wydał mi się bardziej egzotyczny niż filmy, w których nagie dzikusy uwiązują się w buszu przy łoskocie tam-tamów i porykiwaniu drapieżnych zwierząt. Tam przynajmniej wiadomo, że to dzicy ludzie, hen, w odległej części świata; ich obyczaje interesują nas, ale nie mogą zdumiewać. Ale gdy w sercu Europy ludzie na pozór tacy jak my żyją w świecie rządzonego prawami których niepodobna nam zrozumieć, to jest o wiele bardziej egzotyczne. Może to krajo-braz i klimat dodają surowości i patosu ich codziennym postępkom, gdy skryci za rozprężonymi upałem okienkami lub wysiadający swoje długie, puste wieczory na głównej ulicy miasteczka żyją cudzym życiem, czytają na cudzą miłość i cudzą śmierć. Ci ludzie, w których życiu nie ma dzieje i którzy nie mają nawet na co czekać — stworzył sobie swój własny, zamknięty świat oparty na okrutnych zasadach nie dających się już pogodzić z dniem dzisiejszym — zasadach, którym trzeba się podporządkować nawet jeśli się w nie nie wierzy. Patrząc na ich beznadziejne, ponure życie pomyślałam z radością i dumą, ile wartości wnoszą w nasze życie praca i jak bardzo zainteresowanie i zaangażowanie pracą pomaga nam oddzielać sprawy ważne i rzeczywiste od narzuconych nam sztucznie rozdmuchanych opłali i pogłódów, od tłu wymyślonych i stworzonych przez beczynność pulapek i bezdroży nas ratuje.

ALICJA



str. 3

Jestem tylko chętnym czytelnikiem. Nigdy nie dążyłem więc do jakiejś bardziej systematycznej znajomości z poszczególnymi literaturami, aczkolwiek właśnie z lektury, a nie ze słyszenia, znam wielu pisarzy. Jeśli chodzi o współczesną radziecką literaturę rosyjską, to spośród książek, które ukazały się stosunkowo niedawno, a z różnych względów długo mogą sięgać na siebie uwagę, mnie sprawiły rozmaitego rodzaju satysfakcję, budząc wdzięczność dla autorów, trzy pozycje. Kto inny wymieniliby zapewne inne tytuły i więcej tych tytułów. Cóż, na ilości i odmienności propozycji dla czytelników polega bogactwo literatury!

Wcale te trzy tytuły nie oznaczają, że nie czytałem w tym czasie innych autorów, że nie doznawałem satysfakcji choćby podczas lektury opowiadań Bulata Okudźawy „Jeszcze pożyjesz”, opowiadań Aksjonowa, Tendriakowa czy polemicznych wierszy Eugeniusza Jewuszenki, przewartościowych niezbyt odległą przeszłość, albo wierszy Borysa Słuckiego.

Nie chciałbym jednak rozpraszać się, pragnę pokrótce scharakteryzować ogólne zjawisko, zasygnalizowane w tytule. Owe trzy książki, napisane przez pisarzy z różnych wieków, są szczególnie ważne, jak mi się wydaje, chociaż pulsacja, wtargnięcie nowych akcentów do literatury radzieckiej — jeśli ktoś lubi obiegowe wyrażenia: ruch „nowej fal” — zaczęło się wcześniej, twórcze ożywienie jest bowiem z reguły procesem skomplikowanym, migotliwym i kapryśnym, wynika ze zderzenia się i wzajemnego przenikania różnych tendencji artystycznych i różnych poglądów.

Wymieńmy wreszcie te trzy książki. W listopadzie 1962 roku w miesięczniku „Nowyj Mir” ukazała się opowieść Aleksandra Solżenicyna „Jeden dzień Iwana Denisowicza” (polski przekład w „Polityce”), wydana następnie w kolejnym zeszycie „Gazety-powieści” w nakładzie 700.000 egz. Nowa powieść Jurija Bondariewa, to „Cisza”, którą niedawno po polsku wydał „Czytelnik”. Wreszcie w oryginalnym opracowaniu graficznym, przypominającym cokolwiek wydawnicze demonstracje futurystów, wyszedł poemat (określenie w tym wypadku dość umowne) Andrieja Wozniesińskiego: „Trójkątna grusza”, dokładnie: „40 lirycznych dygresji z poematu „Trójkątna grusza” w nakładzie 50.000 egz.

Daleko odeszliśmy od książek typu popularnego ongi „Kawalera Złotej Gwiazdy” S. Babajewskiego! Nie był to skok, gdy się bierze pod uwagę całość obrazu, ale uporczywe i stopniowe zdobywanie nowych obszarów dla twórczości, szukanie wszechstronniejszych środków wyrazu, przelamywanie schematu i sztam, śmiałe folgowanie obserwacji i znajomości życia, pragnienie dorównania przemianom społeczno-politycznym lub ich wyprzedzanie, co jest jednym z zasadniczych praw ambicznej literatury.

Wielką rolę odgrywała tutaj i publicystyka, uprawiana przez najbardziej zainteresowanych, łamiąca długoletnie nawyki i inercję. Leży przede mną pełna treści książka wybitnego poety, Aleksandra Twardowskiego (tego, od dwóch już „Torkinów”), zawierająca jego artykuły i przemówienia z różnych okazji pod ogólnym tytułem: „Artykuły i uwagi o literaturze”. (Nawiasem mówiąc, za tytuł dla niniejszych refleksji posłużyło mi wyrażenie tegoż poety!).

Trzeba było przede wszystkim wiele ujemnych zjawisk w beletrystyce wyszydzić. Mówił Twardowski na XII Zjeździe KPZR:

„Niektórzy myślą, że być pomocnikiem partii — to znaczy tylko akompaniować, ilustrować „środkami artystycznego wyrazu” znane partyjne tezy, wysuwane przez partię gospodarce i produkcyjne zadania. W praktyce tak to na przykład wygląda: „Jaskrawe promienie zachodzącego słońca jeszcze złożyły wierzchołki brzoź wśród budynków kołchozu „Droga do komunizmu”, gdy dojarka Grunia, obliczwszy swoje możliwości, powzięła decyzję wydojenia (tytu, to...) litrów mleka ponad przyjęte przez nią zobowiązanie...”

Gdzie indziej i kiedy indziej Twardowski przypominał o „konieczności głębiwego osobistego rozumienia przez każdego z nas zadań, stojących przed literaturą na progu komunizmu” i o potrzebie „rzeczywistego uświadomienia odpowiedzialności za siebie — nie zaś za „literaturę w całości...”

Przytaczam te wypowiedzi przykładowo, gdyż było ich, zmagających się o właściwe rozumienie zadań i miejsc pisarzy w społeczeństwie, znacznie więcej, a wspierały one indywidualne dążenia, indywidualne poszukiwania.

Sytuacja o nieobliczalnych skutkach moralnych zdarza się wtedy, gdy w społeczeństwie gnije prawda (wyrażenie Marii Dąbrowskiej), albo — innymi słowy — gdy czytelnik jest znacznie mądrzejszy i wie o wiele więcej niż pisarz. Bez rozsądnych, ale i odważnych rozrachunków z przeszłością nie można myśleć o skutecznym, artystycznym ujmowaniu i porządkowaniu aktualnej rzeczywistości. Stąd wielkie znaczenie społeczno-polityczne opowieści Solżenicyna o „Jednym dniu Iwana Denisowicza”, której dramatyczna, chociaż pozbawiona jaskrawych faktów akcja toczy się w obozie karnym na północy ZSRR w 1951 roku. Nauczyciel matematyki, potem kapitan w artylerii, odznaczony bojowymi orderami, został, jak wielu, niesłusznie oskarżony o przestępstwa natury politycznej i aresztowany w lutym 1945 roku na terenie byłych Prus Wschodnich, a następnie skazany na osiem lat, wrócił z zesłania dopiero w 1956 roku. Tak! Był los Solżenicyna.

Powieść nie miałaby tak wielkiego znaczenia, gdyby nie drapieżny talent pisarza, umiającego uporządkować

beletrystycznie autentyczne przeżycia i sugestywnie pokazać — w sposób wywołujący współczucie i głęboki żal — jeden dzień na mroźnej, bezlitosnej dla ludzi po przez ludzi, Północy, w najokropniejszych warunkach. Wbrew niektórym przypuszczeniom, Solżenicyn nie jest pisarzem-autentystą, autorem jednej książki. Świadcza o tym inne jego opowiadania...

Temat powrotu z wojny, wyzwolenia się z koszmarnych chociaż jednocześnie i bohaterkich przeżyć, odnalezienia swego właściwego miejsca w życiu pokojowym dostarczył wielu utworów różnym literaturom. Podobnie zresztą jak i po pierwszej wojnie. Nie nabrał on zbyt przekonującej wymowy w powieści „W rodzinnym mieście” Wiktora Niekrasowa, autora niezapomnianej książki „W okopach Stalingradu”. Nie-

JAN HUSZCZA

Pracowite „POSZERZANIE PLACU RZECZYWISTOŚCI”

powodzenie pisarskie Niekrasowa w jakimś stopniu da się może wyjaśnić, jeśli przypomnimy sobie choćby rok wydania powieści: 1955.

Jurij Bondariew jest pisarzem młodszym od wspomnianego. Ten spokojny i uważny człowiek o sympatycznej, po męsku zwyciężej w wyrazie twarzy, był naszym gościem w ub. roku. Tytuł „Cisza” ma znaczenie podwójne. Dosłownie — to zwycięskie zwinięcie wszystkich frontów, a w przenośni — to powrót do życia w trudnym czasie powojennym, w dodatku w okresie kultu „jedności”. Rzecz dzieje się w Moskwie, dotyczy perypetii — nieraz jakże dramatycznych — dwóch młodych przyjaciół, których wojna wyrwała ze szkolnej ławy. Proza rozważna, nasycona realiami, bezlitośnie dokładna w niektórych partiach opisowych (np. rewizja w mieszkaniu jednego z bohaterów), przez swoją wnikliwość czasem przypominająca nawet stronicę z Lwa Tołstoja. Dowodnie świadczy o tym, że metaforyzacja i aluzyjność — gdy chodzi o „poszerzenie placu rzeczywistości” — w niejednym wypadku mogłaby być mniej skuteczna. Czytelnicy chcą realii, chcą rozwiniętych sytuacji życiowych, pokazanych, rzecz jasna, na szerszym tle.

„Cisza” reprezentuje realizm rzeczowy, a nie pozorny, czyniący zadość schematom, reprezentuje realizm zaangażowany w wartościowanie i wyjaśnianie rzeczywistości, odrzucający apetykarską wagę, tak chętnie w przeszłości podsuwaną oraz uproszczony, nieprawdziwy podział na białe i czarne.

Architekt z wykształcenia, Andriej Wozniesiński, szczupły i żywy, jakby pewny swojej popularności poeta przed trzydziestką, należy do bardziej znanych i u nas, odświeża lirykę — łamie oficjalnie panujące kanony stroficzne i przestawia tradycyjnie uszeregowane akcenty wzruszeniowe — przez ożywienie jej tradycjami rosyjskiego futurizmu. Gdyby chodziło o ustalenie filiacji, dałoby się wymienić Chlebnikowa, wczesnego Majakowskiego, Pasternaka. Jego wiersze można znakomicie recytować, powinno się je czytać raczej na głos. W strukturze wierszy, w ich metaforze często jakże oryginalnej, czuje się architekta — kapryśnego eksperymentatora, lubiącego w dodatku efektowność. Cóż, troska o efektow-

ność, to cecha nie tylko futurystów, ale i w ogóle młodych poetów.

Wozniesiński lubi inwokacje i nawet publicystyczne apostrofy, dla przykładu (gdy pisze prozą o Garcii Lorce):

„Lekcja Lorki — nie tylko w jego pieśniach i życiu. Jego śmierć — to także lekcia. Mordowanie sztuki trwa nadal. Czy tylko w Hiszpanii? Gdy piszę te uwagi, być może, dozory więzienni wyprowadzają właśnie na spacer Siquieira”...

Na zakończenie tych luźnych konstatacji, podporządkowanych w miarę możliwości tytułowi jak wspólnemu mianownikowi, chciałbym jeszcze wspomnieć o swoich doznaniach z ubiegłego listopada, jako widza teatralnego. Wśród wielu innych przedstawień, obejrzałem wówczas dwa w moskiewskim teatrze przy Placu Majakowskiego, tuż obok pomnika poety i trybuna, w teatrze „Sowremiennik”, czyli po prostu, jakbyśmy powiedzieli po naszymu, w Teatrze Współczesnym.

Współczesność w teatrze różnie się wypowiada. U nas najchętniej przy pomocy groteski, umownych sytuacji, syntetyzujących metafor, czasem jednak tak wieloznacznych, że można w nich odczytać wszystko i nic. Tedy nikogo nie powinno dziwić, iż widz pragnie nieraz ujrzeć w dramatycznym ujęciu fragment aktualnego życia, ujrzeć sztukę zbudowaną z autentycznych, znanych wszystkim sytuacji, z których także można wysnuwać uogólniające wnioski, bardziej określone, oparte na doświadczeniach i doznaniach potocznych.

Teatr ten należy, jak na warunki moskiewskie, do kameralnych, gdyż jego skromna widownia liczy zaledwie 800 miejsc. Jego wnętrza jest wnetrzem: stosunkowo ubogim; elementami scenograficznymi są konstrukcje z desek, szczytki parkanów z afiszami, jakieś schody, ledwie zarysowane przy pomocy najwykleszych mebli wnętrza mieszkalne.

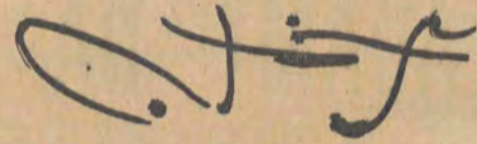
Sztukę spółki autorskiej A. Zaka i I. Kuźniecowa pt. „Dwie barwy” (kurtyna w tym wypadku składa się z części czerwonej i części czarnej) można nazwać w jakimś sensie niemal interwencyjną, oceniającą na gorąco uchwycone przejawy życia. Można ją umieścić w kategoriach repertażu scenicznego.

W jakiejś prowincjonalnej dziurze, w Kasatkine, przy bliżej nieokreślonej budowie pracuje pełna zapału młodzież, ale w ten zapał wkracza banda chuliganów, której rodowód stanowi prowincjonalna nuda. Owszem, jest i działacz komсомоłski, świetnie naszkicowany działacz nie z powołania, ale z etatu, postać dobrze nam wszystkim znajoma. Jest i milicja, ale nikt jej właściwie nie ośmiela się pomóc. Krócej mówiąc, wszyscy czują się sterroryzowani. Terrorowi sprzyja karierowiczostwo i konformizm życiowy, uosabiany przez młodego adwokata. (To on właśnie powołuje się na... Gorkiego!).

Zniewolona społeczna, zjawisko jakże znane i u nas, doprowadza do zamordowania najsympatyczniejszego członka kolektywu, Szury, którego wyraziście grał, dodając mnóstwa rysów wiatemu niekiedy tekstowi, I. W. Kwasza.

Ten dopiero fakt budzi z uśpienia niemal wszystkich. Nie obywa się w sztuce i bez innego typu konfliktów, w pierwszym rzędzie — miłosnych. Nie mam zresztą zamiaru dokładnie streszczać sztuki, gdyż jest to z reguły zajęcie chyblone. Wstawki polemiczne, wiersz, czynią z utworu rzecz zaangażowaną, gorącą. Aktorzy grają na najwyższym poziomie, choć najtrudniej chyba grać zwyczajnych ludzi ze zwyczajnej ulicy, teatr bowiem nie dostarcza dla współczesności żadnych wypracowanych konwencji.

Problem drugiej sztuki, A. Wołodina „Starszej siostry”, to konflikt czy antagonizm między pokoleniami. A może źle to określiłem? Spróbujmy więc te sprawę nazwać inaczej: dziewczęta, których wojna pozbawiła rodziców, buntują się przeciwko swemu opiekunowi i stryjowi w jednej osobie, który, owszem, dużo im po-



święcał troski, ale chce je niejako sła, według własnych zaśnieźdłych pojęć i kryteriów, uszczęśliwić. Uszczęśliwienie na siłę — oto zagadnienie naszych czasów. Tak czy inaczej, sprawa rozgrywa się jednak między pokoleniami. I znowu istotne, dokuźliwe kwestie, znowu życiowe sytuacje, choć tym razem dość dziwnie przetłumaczane. Zresztą, bez przetwarzania sytuacji życiowych trudno mówić o konstruowaniu sztuki, można jedynie, jak w tym właśnie wypadku, dyskutować nad konstrukcyjną trafnością takiego przetwarzania.

I tym razem obcuje się ze sztuką żywo interesującą widzów.

Jeszcze raz, oglądając te dwie sztuki, utwierdziłem się w przekonaniu, że realizm w teatrze i literaturze, oczywiście, rozmaicie i różnorodnie pojmowany, wartościujący życie, jest potrzebny. Nie muszę dodawać, że chodzi o realizm pulsujący namietnością, pobudzający do dyskusji, walczący o „poszerzenie placu rzeczywistości”. (No, i nie wykluczający tej walki także przy pomocy innych stylistyk!).

W pracowniach Tódrkich, pisarzy

Tadeusz Chróścielewski



Kazimierz Bleszyński

Stosunkowo niedawno ukazało się drugie wydanie mych wspomnień „O mnie i nie o mnie”.

Wydawnictwo Łódzkie drukuje obecnie moją powieść pt. „Wywoływanie Boga” i łączy z nią kilka innych drobniejszych mych utworów beletrystycznych.

nych; a ja pracuję nad nową książką „Spojrzenia” w moje z wolna do końca już się zbliżające życie.

1. Ostatnio wydałem: „Rodzinę Jednorozców” oraz przekłady z rosyjskiego — Mikołaja Demientiewa „W dalekiej przystani” i Jurija Kuranowa „Eabędź” (oba — PIW). Z wypowiedzi na temat tych utworów czuję się zwolniony. Uważam, że wypowiedzi autora o książce jest sama książka, ponadto „Rodzina Jednorozców” była rzeczowo oceniana przez 21 czasopism (wychodzących poza Łódź).

2. W druku bądź w opracowaniu redakcyjnym znajdują się m. in.: Powieść o Łodzi z lat

1945—46, której fragmentów wasze pismo zamieściło w ub. roku, pod wciąż jeszcze prowizorycznym tytułem „Korona”; wybór poezji A. Feta — wspólnie z Gabrielem Karskim (PIW); wiersze Nadieżdy Poliakoviej, Juny Morie, Rimmy Kozakowej, Muchrama Maczawariani i in. w przygotowywanej przez „Iskry” antologii młodej poezji radzieckiej.

Na warsztacie — powieść „Węgrzynek”, której akcja toczy się w XIX w. na Ziemi Łódzkiej i w Czechach oraz współcześnie.





Pomnik ku czci bohaterów Wielkiej Ojczyźnianej Wojny.

WOŁGOGRAD - miasto BOHATER

Dalszy ciąg ze str. 1

imy przed wspólną mogiłą poległych obrońców kraju. Dalej grób — pomnik Bohatera Zw. Radzieckiego kpt. Rubena Ibarruri, syna słynnej Dolores Ibarruri. Niedaleko płyta nagrobowa poległych obrońców — ufundowana przez polskich patriotów. Obok ruiny młyna — historyczny zabytek — pamiątka nieugiętości i męstwa gwardzistów — wspaniały dokument historii. Jeździemy autokarem na słynne wzgórze — Kurhan Mamaja — miejsce klęski 300-tysięcznej armii Paulusa, miejsce chwały obrońców miasta — ze wspaniałym pomnikiem kobiety bohatera.

Obecny Wołgograd to ponad 700-tysięczne miasto, ciągnie się po prawej stronie Wołgi na długość ok. 70 km. Cztery główne ulice ciągną się na przestrzeni wielu, wielu kilometrów. Kiedyś, istniała tu nad dopływem Wołgi, rzeczka Caryca — wysępka Carycyn. W 1589 r. zbudowano tu twierdzę — Carycyn — punkt strategiczny Rusi. Obwody handlowe i przemysłowe nabierały znaczenia i w XIX w. Carycyn stał się znanym ośrodkiem. Powstała tu kolej żelazna i port rzeczny. 17 listopada 1917 r. po zwycięstwie Wielkiej Rewolucji — proklamowano „Sowiet” — władzę w mieście. Miasto przechodziło nowe kolejne losy swego rozwoju. Składało się z kilkunastu dzielnic, ulice były zabudowane niskimi drewnianymi domkami — istniał tu cały szereg zakładów przemysłowych: tartaki, młyny itd. Wszystko to zostało prawie kompletnie zniszczone w czasie słynnej 200-dniowej bitwy stalingradzkiej, która była przełomowym momentem II Wojny Światowej — bohaterską obroną 62 armii pod dowództwem generała Czujkowa.

Obecnie, powstało nowe olbrzymie miasto. Wszystkie domy posiadają nowoczesną architekturę. Jest to miasto kwiatów i zieleni. Parki i skwery zajmują powierzchnię 7 tysięcy ha — dając dużo świeżego powietrza i dużo uroku temu miastu.

Przepiękne bulwary nad Wołgą są miejscem spotkań i wypoczynku wszystkich mieszkańców. Są też miejscem spotkań i spacerów zakochanych. Wieczorami rozbrzmiewa tu śpiew i gitara. Nasza grupa spędziła tu prawie wszystkie wolne chwile, gawędząc, śpiewając i bawiąc się wraz z młodzieżą — studentami Wołgogradu. Były to niezapomniane — nastrojowe wieczory. Pozostawiły dużo przeżyć i wspomnień.

Wołgograd — to także olbrzymie centrum przemysłowe. Obecny przemysł zwiększył swą produkcję o przeszło 300 proc. w porównaniu z rokiem 1940. Istnieje tu ponad 150 fabryk wszystkich rodzajów przemysłu. Produkcja jest dobrze znana nie tylko w ZSRR. Eksportuje się do 26 krajów świata. Istnieją tu dobre warunki rozwoju przemysłu ciężkiego — który obecnie osiąga 90 proc. Największe zakłady to „Czerwony Październik”, Olbrzymie Zakłady Traktorów posiadają swą historię związaną z II Wojną Światową — kiedy to w lecie 1943 r. odgrywały doniosłą rolę w pierwszych walkach frontowych — przestawiając się na produk-

cję zbrojeniową. Po wojnie nastąpiła restauracja tych zakładów — obecnie produkowane tu dieslowskie traktory spotkać można nie tylko na polach ZSRR, ale i w Polsce, Rumunii, Jugosławii, Afganistanie i wielu krajach Europy, Azji i Afryki. Stocznia Wołgogradzka zlokalizowana w południowej części miasta — jest również jednym z największych ośrodków przemysłu ciężkiego.

Wołgograd — to również wielkie centrum przemysłu drzewnego. Rozwija się tu także przemysł chemiczny, w oparciu o bazę lokalnego wydobycia gazu i ropy naftowej. Słynna zaś — jedna z największych na świecie, hydroelektrownia im. XXII Zjazdu KPZR, znajdująca się na Wołdze — usytuowana jest o kilkanaście kilometrów od centrum miasta. Przy ustalonej mocy 2563 tys. KW jej produkcja elektryczna wynosi 11,5 miliardów kilowatogodzin (kWh) w ciągu roku, tj. tak dużo jak wszystkie razem, radzieckie hydroelektrownie w 1950 r. Sieć wysokiego napięcia do Moskwy posiada napięcie 220 i 500 tysięcy woltów prądu zmiennego, a do Donbasu 800 tysięcy woltów prądu stałego. Jest to więc budowla, która przytłacza swoim ogromem i wzbudza olbrzymi podziw.

Kanał Wołga—Don nosi imię Lenina. Zaczyna się

przy Krasnoarmeńsku — mieście leżącym na południe od Wołgogradu. Budowa tego kanału spowodowała olbrzymi wzrost transportu. Wołgograd stał się portem pięciu mórz: Kaspijskiego, Czarnego, Azowskiego, Bałtyckiego i Białego. Niezapomniana przejażdżka statkiem, emocje przy przepływie przez śluzy, nauka nowych piosenek rosyjskich, to miłe wspomnienia z tej eskapady.

Wołgograd jest nie tylko miastem przemysłu, ale także centrum kulturalnym nad całym korytem Wołgi. Znajduje się w nim 5 uczelni: Instytut Mechaniczny, Inżynieryjno-Budowlany, Instytut Medycyny, Pedagogiczny oraz Instytut Rolniczy. 15 specjalnych szkół — są technicznym przygotowaniem dla inżynierii i przemysłu naftowego. Ponadto istnieje 100 szkół ogólnokształcących.

Dla wypoczynku — rozrywki, miasto dysponuje stu bibliotekami, istnieje tu 10 kin, 3 teatry — dramatyczny, operetka, opera, muzea, stacje telewizyjne, planetarium (dar NRD), kluby, pałace kultury, stadiony i obiekty sportowe, jak klub itp.

Widok Wołgogradu związany jest ściśle z krajobrazem rzeki. Wszystkie budowle i fabryki znajdują się po prawej stronie Wołgi. Miasto rozrasta się i potężnieje. My wywozimy z tego miasta wiele, wiele niezapomnianych i wspaniałych przeżyć i wrażeń.

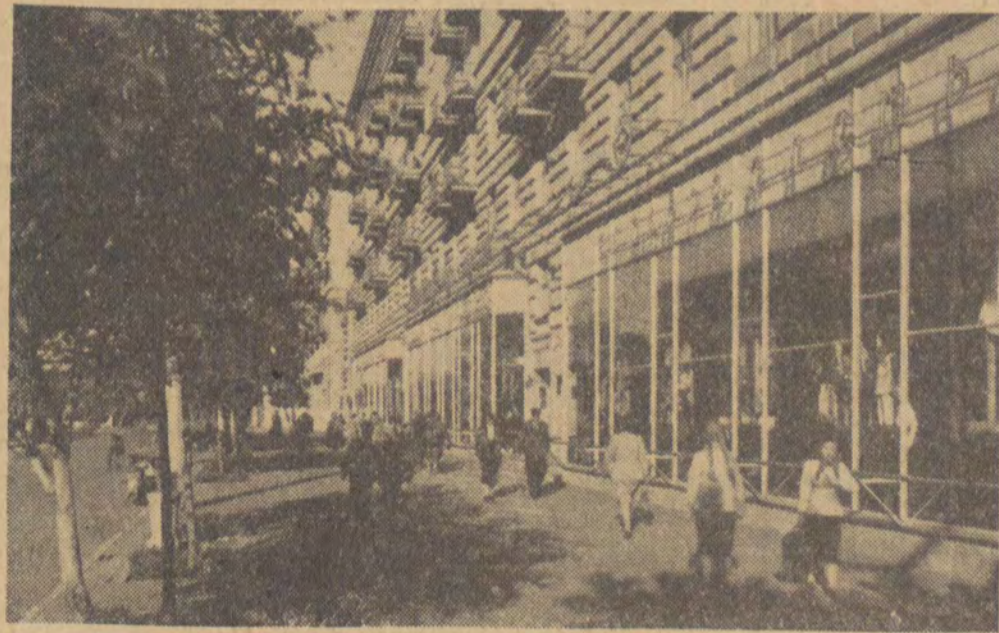
Jorgos — jedyny obok Krowiec — „dusza” naszej wycieczki, Grek, student AM w Lublinie — oprócz niezliczonej ilości przeżyć, wywozi również samochód „Moskwicz” — co prawda miniaturę prawdziwego, ale z kierownicą, reflektorami, trąbka i na dużych kołach. Jego mała córeczka w Polsce jeżdżąc na nim, będzie również wspominać i opowiadać o pobycie taty w „nowym” pięknym mieście Wołgogradzie.

Kilku kolegów wywozi ponadto swoje rozdarte serca — przez naprawdę ładne, a nawet uroczę dzweczka Wołgogradu. Nasze dziewczęta — masę pamiątek, upominków od adoratorów — miłych chłopców i naszych opiekunów z Biura Turystyki „Sputnik”.

Od przedstawicieli zakładów pracy, organizacji młodzieżowej, Komsomłu otoczyliśmy wiele prób o przekazanie pozdrowień dla polskiej młodzieży, dla naszych organizacji młodzieżowych, dla polskich studentów. Otrzymałszy moc pozdrowień od młodzieży Zakładów im. Piętowa w Wołgogradzie dla młodzieży naszego miasta, dla łódzkich studentów. Młodzież tych zakładów z olbrzymią radością nawiązały trwały kontakt z organizacjami, z młodzieżą pracującą Łodzi.

Tak więc zobaczyliśmy i zwiedziliśmy bardzo dużo — pełni zachwytu, podziwu i uznania wracamy do Polski z pragnieniem by tam choć jeszcze raz wyjechać.

LECH ROMANOWSKI



Dom towarowy „Świat Dziecka”

ANNA ACHMATOWA

SZKICE KOMAROWSKIE

I cofnęłam się tu, od wszystkiego,
I od wszelkiej ziemskiej radości.
Duchem i stróżem „miejsca tego”,
Był pień owej krzywej sosny.
Oto dlaczego u wschodniej ściany,
W zaroślach ostrej maliny,
Ciemny bez zapachem rozpalany,
Jakby to był list od Maryny”.

1961 r., listopad

*) Mowa o Marynie Cwietajewej (1894—1941), wybitnej poetce rosyjskiej.



Stał drzy pod korozją i marmur się kruszy,
Rdzewieje złoto, na śmierć wszystko czeka...
Trwały jest smutek trawiący duszę;
Wiecznie królewskie słowo człowieka.
1945

Przełożył: ZIEMOWIT SKIBIŃSKI



Ospale płynie rzeka wśród doliny,
Na pagórku świeci dom oknami,
A my żyjemy jak za Katarzyny
Czekaniem urodzajów i nabożeństwami.

Dwudniowe ledwie zniósłszy niewidzenie,
Pośpiesza ku nam gość z oddali złotej niwy,
Całuje rękę babci z namaszczeniem
I w usta mnie na schodach krzywych.

Przełożył: JAN HUSZCZA



OSIP MADELSZTAM



Gdzie jęk skowany, wbity na epokach?
Gdzie Prometeusz — skały podparcie i księga?
I kondor gdzie? I pogoń żółtooka
Szponów mierzających zakolnie spode lba?

Dramat nie wróci i bytu mu nie masz...
Ale te wargi wiodące szturm z dala —
Ale te wargi prowadzą w problemat
Sofokla — cieśli i Aischyla — drwala.

On — echo i wezwanie, drogowaskaz, nie — brona...
Powietrzno-skalny teatr lat narastających.
Wstał na nogi i wszyscy wszystkich chcą odpoznać —
Narodzonych, pomarłych, śmierci nie mających.
19. I. — 4. II 1937 w Woroneżu

Przełożył: TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI



Marek Wawrzkiwicz ur. 21. II. 1937 r. w Warszawie. Wiersze i utwory prozatorskie drukuje w prasie od roku 1956. W Łodzi mieszka na stałe od siedmiu lat. Od przeszło czterech lat jest ściśle związany z naszym tygodnikiem na łamach którego opublikował wiele pozycji — wierszy, reportaży, recenzji i artykułów. Publikował swoje utwory we wszystkich niemal pismach literackich. Uzyskał nagrody w konkursach poetyckich w Poznaniu i w Łodzi. Wydał dwa tomy wierszy: „Malowanie na piasku” (Wydawnictwo Łódzkie 1950) i „Orzech i Nimfa” (Czytelnik 1963). Przygotowuje do druku następny zbiór wierszy pt. „Epitafia” i zbiór reportaży. Pracuje nad powieścią współczesną pt. „Powrót na stare miejsce”.

MAREK WAWRZKIEWICZ



ZALEDWIE KILKA LAT

Muszę zacząć od wyznań. A więc wyznaję po pierwsze, że bardzo miłe zaszkodził mi fakt, iż mnie, poetę należącego do grupy jeśli nie „najmłodszych”, to w każdym razie „młodych” zaproszono do udziału w ankiecie, gdzie mam przyjemność wystąpić obok pisarzy wybitnych i powszechnie znanych. Jestem skłonny nawet uważać to zaproszenie za pewien akt odwagi ze strony redakcji; społeczeństwo twórcze naszego miasta jest chyba silniejszą, niż gdziekolwiek indziej dotknięte chorobą hierarchizacji. Jak zdają się twierdzić nawet najbardziej wybitni moi przyjaciele, dzieło plastyka debiutującego musi być mniej warte niż obraz na przykład asystenta Wyższej Szkoły Plastycznej, a poeta, który ma na swoim koncie jeden zbiór wierszy jest na pewno poetą gorszym od tego, który wydał już dwie książki. Według tych teorii pozycja „na szczytach” zajmują oczywiście ci, którzy zaczęli tworzyć w poprzednim dwudziestolecu. Są byli dyrektorzy, byli kierownicy, byli postowie — są też, jak mi się zdaje, byli twórcy. Dzieła ich znalazły czasem swoje miejsce

w historii literatury polskiej, trudno jednak przecieć wyżej cenić tego, który nie tworzy aktualnie nie od tego, który tworzy choćby tylko **cokolwiek**. Nie chciałbym, aby mnie źle zrozumiano. Mam prawdziwy szacunek dla dzieł twórców tzw. starszego pokolenia. Szanuję hierarchię zasług literackich. Zawsze jednak protestuję przeciwko chorobie hierarchizacji, przeciwko fałszemu używaniu słowa „młody”, które nadaje temu przymiotnikowi cechy pejoratywne. Mam wrażenie — i to jest kolejne wyznanie — że właśnie „Odgłosy” w czasie swojego prawie sześciolatniego istnienia walczyły z tą tylko pozornie niegroźną chorobą, ukazując społeczeństwu, czytelnikom nowe, zupełnie nieznane pokolenia i ich twórczość. O „Odgłosach” pisał już moi w tej dyskusji poprzednicy. Mówiąc o piśmie, z którym jestem od lat przeszło czterech ściśle i bez przerwy związany, muszę unikać określeń zbyt gorących, aby nie być posądzonym o stronizację. Ale właśnie dlatego, że jest mi ono i jego zespół tak bliskie, dlatego, że byłem przy nim w okresach „bogactwa i biedy”, wiele wiem o wy-

siłkach pokolenia łódzkiego, co było w łódzkiej twórczości do pokazania. I nie można mówić o dorobku środowiska literackiego naszego miasta bez podkreślenia roli „Odgłosów”. Zał tylko, że nie można tego dorobku sprzedać poza najbliższą okolicę, że „Odgłosy”, wyzwolone może od pewnych tematów, nie rozchodzą się po całym kraju. Jestem najgłębiej przekonany, że łódzkie środowisko twórcze zasłużyło sobie na szersze spopularyzowanie swojego dorobku, a wiadomo, że za pośrednictwem pism centralnych udaje się to nader rzadko. Cóż tu zresztą dumać o zdobywaniu rynków pozalódzkich; zbierałem kiedyś przez miasto wszystkie publikacje literackie i publikacje o literaturze. Pionem tego kolekcyjnerstwa były jeden wiersz i jedna zdawkowa recenzja o książce łódzkiego pisarza. To było wszystko co mogły zrobić dla łódzkiego środowiska literackiego w przeciągu 30 dni trzy łódzkie pisma codzienne. Nie trzeba dodawać, że jest to nieco zawstydzające.

Mogę mówić o kilku zaledwie latach. Kilka lat to niewielki okres czasu. My-

ślę jednak, że trafiłem na czas szczęśliwy. Literatura łódzka po dłuższym okresie załamania zrobiła — wydaje się — wielki krok naprzód. Było to wynikiem pracy nie tylko nowych wstępujących pokoleń. Ten okres jest gęsty od literackich zdarzeń i wydarzeń. Wydarzyły się więc książki Karczewskiej, Czernika, Bleszyńskiego i Go molińskiego, które bardzo daleko wyszły poza granice literatury regionu, książki Władysława Rymkiewicza, Jażdżyńskiego i Papiera. Młode Wydawnictwo Łódzkie, na które często i nie bez racji narzekamy, umiało skupić wokół siebie wszystkich niemal łódzkich pisarzy, umiało pokazać ich niemały dorobek. Te kilka lat, na koniec, to okres kiedy debiutowali i dojrzewali pisarze młodego pokolenia. Urodziło się ich wtedy dla literatury bardzo wielu i objęło swoją twórczością wszystkie niemal dziedziny i gatunki literackie: Jarosław Marek Rymkiewicz — poezja i przekłady, Nienacki — dramat i proza, Brycht — proza, Sztajmert — proza i poezja, Glegier — satyra i poezja. A jeszcze przecież wiele utworów i książek Lobody, Waleńczyka, Kosiuńskiego, Budreckiego — że

wymienię tylko kilka nazwisk.

„Wykrzywienia profesjonalne” oraz dziwne nieco gusty czytelnicze powodują, że prozę czytają dość rzadko, przedkładając nad nią poezję i książki o poezji. Z tego też właśnie względu niewiele potrafił powieścić o dorobku prozatorskim łódzkich pisarzy. I mo że właśnie te „skrzywienia” powodują, że najwyższą cenę to, co wyszło spod piór łódzkich poetów. „Bardzo sprzyjam szkole łódzkiej odważnie przeciwstawiającej się ograniczeniom szkoły krakowskiej”. Zdanie to napisał w liście do mnie Mieczysław Jastrun. Sądzę, że nie podyktowała go znakomitemu poecie kurtuazja; myślę, że nie wynikało z niej z wojny jaką Jastrun od wielu lat prowadzi przeciwko wskrzeszaniu awangardy. Ta łódzka szkoła tworząca i broniąca poezji zaangażowanej, poezji nowego klasycyzmu, jest faktem uznanym i ocenionym przez krytykę. Mimo że jest szkołą młodą i szkołą młodych potrafi już wpływać na poetycką mapę Polski, potrafi nawet wywierać wpływ na twórczość starszych wiekiem pisarzy. Są to fakty szczególnie godne podkreślenia w dobie rozlicznych i bardzo rozwichrzonych prądów i kierunków poetyckich. Wielka ilość nagród, które uzyskali nasi poeci w ostatnich latach była chyba dopiero wejściem na ogólnopolskie forum. Szkoła jest, jak się rzekło, młoda i młodość się poeci, wiele dobrego może się zdarzyć w najbliższych latach. Sformułowanie to nie należy do prozektów — ambitne książki twórców łódzkich coraz częściej są wymieniane w prasie literackiej.

Z tego co wyżej napisałem łatwo można wyciągnąć wniosek, że widzę tylko pozytywne. Pozytywami są na pewno twórcze osiągnięcia naszego środowiska literackiego. Pozwólę sobie natomiast mieć zastrzeżenie do postawy społecznej bardzo charakterystycznej dla wielu pisarzy pracujących w Łodzi. Oczywiście: udział pisarza w życiu społecznym polega przede wszystkim — jak pisze Władysław Rymkiewicz — na tworzeniu dobrych utworów. Ale czy tylko? Czy pisarz mieszkający i tworzący w Łodzi, w mieście pozbawionym wię-

szych tradycji kulturalnych, w mieście, w którym rozdział „Kultura dostępna dla mas” jest zapisywany dopiero przez Polskę Ludową, w mieście, w którym pokutuje ciągle młodopolski mit ekstrawaganckiego pisarza — lekkoducha może sobie pozwolić tylko na pisanie dobrych książek?

Nie mogę się zgodzić z tak częstą wśród łódzkich twórców postawą arbitra, człowieka sądzącego ze stola ca własnej wielkości ludzi i wydarzenia, wybierającego tylko z otaczającej go rzeczywistości tematy na komedię lub powieść. Nie mogę się zgodzić z popularną nie tylko u nas „działalnością” kawiarnianą. Nie mogę się zgodzić z faktem, że pisarz, któremu powinno za leżeć na popularyzowaniu jego twórczości, ogranicza się tylko do oczekiwaniami na propozycje udziału w spotkaniach autorskich. Zbyt wiele jest w naszym mieście tragicznych zupełnie nieporozumień w działalności kulturalnej, zbyt wiele jest jeszcze szmiry i kiecu szerego w najlepszej wierze przez jednostki kierujące kulturą na wielu szczeblach. Myślę, że ten stan rzeczy woła o ingerencję pisarza. Oczywiście za to, że jest tak jak jest, nie można winić tylko literatów. Istnieje chyba pałaca potrzebowa poważnego narzędzia się nad sprawami kultury w Łodzi. Byłaby ona jak sądzę, otwarciem drogi dla wielu łódzkich pisarzy, pozwoliłaby dotrzeć pisarzom do wielkich mas czytelników, pozwoliłaby walczyć o to, o co się i na tych łamach walczy — o kulturę masową. Myślę, że rola pisarza w Łodzi jest szczególnie trudna i szczególnie odpowiedzialna. Staram się tak jak umiem realizować te zasady. Dlatego uprawiając literaturę, dziennikarstwo i traktując je jako moją podstawową pracę próbuję również działać jako pracownik kulturalno-oświatowy. Przyznaję — nie zawsze z najlepszymi skutkami. Mam jednak nadzieję, że wraz z pisanem moich następnych książek uda mi się osiągnąć w tej działalności społecznej nieco lepsze rezultaty. Chcę je osiągnąć w Łodzi, którą — choć jestem tu przybyszem — uważam za najbardziej swoje miasto.

JAN KOPROWSKI

Ludzie i Książki

Od chwili, gdy zacząłem pracować jako kierownik literatury w teatrze, postanowiłem zgromadzić wszystko, co Tadeusz Boy-Zelenki na ten temat napisał. Nie było to łatwe. Dziesięć tomów „Flirtów z Melpomeną” i siedem dalszych, każdy pod innym tytułem — oto dorobek Boya, poświęcony sprawom teatru, ogłoszony przed r. 1939 i po wojnie nie wznawiany. Wiele lat upłynęło, nim — szperając po antykwariatach — skompletowałem sobie wreszcie te cenne pozycje. Niektóre spojrzę na półkę, gdzie spoczywają „Flirty z Melpomeną”, radując się, że jestem ich posiadaczem, a niejednokrotnie były i są mi one pomocne w pracy teatralnej.

Tymczasem, po wypuszczeniu na rynek księgarski ośmiu nastu tomów Boya (wśród których znajdują się m. in. „Słówka”, „Znaszli tej kraj”, „Ludzie żywi”, „Bronzownicy”, „Marysińska Sobieska” i wybory „Feliertonów”), Państwowy Instytut Wydawni-

leników. Jedną mieszali go z błotem, inni przeciwnie: stawiają go za wzór jasności myślenia i sprawności pisarskiej. Należy do tych ostatnich i chciałbym, aby adonacja, którą otaczam jego dzieła, udzieliła się również innym. Boy przez blisko dwadzieścia lat był stałym recenzentem teatralnym. Omawiał w swoich recenzjach sztuki

konfrontacja tego, co niesie z sobą doświadczenie i obserwacja z tym, co prezentuje sztuka na scenie. Boy nie rozpatrywał oglądanych przez siebie przedstawień w świetle materiału erudycyjnego (choć sam był znakomitym erudyta), nie interesowało go, kto, co i kiedy o danej sztuce pisał. Jednym z najistotniejszych sprawdzianów, wedle

bista książka. Otóż czy nie w tym tkwi cała tajemnica jego pisarstwa? Teatr był mu niezbędny jako najbardziej osobiste, intymne przedziwienie. Szedł na przedstawienie z dziećmi, z zaciekawieniem, albo powiedział inaczej: jak uczeń na randkę — z radością i niepokojem w sercu. Nawet gdy Boy ganił i krytykował, było w tym coś ser-

francuskiej. Przedstawicielem pierwszej był Karol Irzykowski, drugiej — Boy. Oczywiście nawet ciężka szkoła niemiecka pod piórem takiego talentu krytycznego jakim był Irzykowski, dawała świetne rezultaty. Ale w przypadku mniejszego talentu, dojechał do głosu typowo niemiecki pryncypialność, brak humoru i zawziętość sfor-

BOY PO LATACH

czy przystąpił do wydawania czwartej serii pism boyowskich, obejmujących właśnie „Flirty z Melpomeną”. Mamy już w tej chwili „cztery wieczory”, zawarte w dwu tomach i poszerzone o rzeczy, których Boy nie włączył do wydań pierwotnych. Obecnie wydawane „Flirty” mają trwałą okładkę, piękny papier i liczne ilustracje w tekście, co znakomicie podnosi ich wartość. Ci, co znają przedwojenne egzemplarze „Flirtów”, wiedzą, na jak nędznych drukowaniu je papierze i jak niechlujna była korekta tekstów. Czy wobec tego człowiek może oprzeć się pokusie nabycia tych nowych „Flirtów z Melpomeną”? Oczywiście, nabywam je i stawiam obok starych, podniszczonych egzemplarzy, ciesząc się, że powiększa się w mojej bibliotece boyowskie gospodarstwo.

Tadeusz Boy-Zelenki miał i ma, obok zaciekłych wrogów, również gorących zwol-

głośno i nieznanie, wartościowe i słabe, ale to, co o nich pisał, zawsze czytało się z zainteresowaniem i ciekawością. Ktoś powiedział, iż o wielu sztukach z przeszłości wie się jedynie dlatego, że Boy poświęcił im kilka lub kilkanaście wierszy uwagi. Na czym więc polegała sztuka pisarska Boya? Co sprawia, że w dalszym ciągu sięgamy po jego recenzje i felietony i delectujemy się nimi, podczas gdy wiele bardzo szacownych autorów „przeminięło z wiatrem”? Jak wszędzie, tak i tutaj przyczyną jest co najmniej kilka. Jeden z jego tomów „wrażen teatralnych” nosi tytuł „Okno na życie”. Wydaje mi się, że w tytule tym mieści się program Boya. Patrząc na teatr i pisząc o teatrze nie z pozycji uczonego teatrologa, lecz z poczucia nieobarzonego balastem scientyficznego człowieka. Teatr to było dla niego właśnie owo „okno na życie”,

którego oceniał zjawiska teatralne, była miara czasu, miara epoki. Boya interesowało nade wszystko, jak dany utwór „gra” teraz, w danej chwili, jakie niesie dla nas treści społeczne, obyczajowe, artystyczne. Mówi się, że Boy nie był idealnym recenzentem i że niewiele dawał aktorom. Może to, co powiem, zabrzmi paradoksalnie, ale w tym właśnie widziałbym jego siłę. Mamy dziś wielu recenzentów, którzy dokonują drobniagowej analizy przedstawienia i gry aktorskiej, i co z tego? Natomiast mało który z recenzentów dysponuje taką świeżością i ciekawością, jak kiedyś Boy. Dochodzi do tego jeszcze jedna sprawa niebagatelna: talent. Boy świetnie pisał. Ale co to znaczy: świetnie pisać? Przecież i wśród dzisiejszych recenzentów mamy dobrych stylistów. W przedmowie do jednego z „Flirtów” Boy wyznaje, że jest to jego najbardziej oeo-

decznego, mówiąc zwyczajnie i banalnie: była w tym miłość sztuki. Dalej: Boy wychował się na literaturze francuskiej. Wziął z tej literatury to, co w niej najlepsze: jasność myśli, racjonalizm, zaangażowanie, swobodę i dowcip. Boy nie znosił metnactwa w pisaniu. Tropił wszelkie zawłóki, „pozorne głębokości”, uciążliwość i polonistykę od pa-na Zagłoby. Niektórzy mają mu to za złe. Twierdzą mianowicie, że jest to felietonistyka ułatwiona, obliczona na schlebienie czytelnikom. Nie bardziej fałszywego, Boy, który tępił i ośmieszał obskurantyzm, walczył z obudą obyczajową, był rzecznikiem postępu społecznego, nie mógł tym samym schlebzać wielu środowiskom, które właśnie odnosiły się doń wrogo i odsadzały go od czci i wiary.

Mieliśmy w Polsce dwie szkoły krytyczne: jedną, wywodzącą się z ducha literatury niemieckiej, drugą — z

mulowań, będąca wynikiem skłonności do nadmiernego teoretyzowania. Boy wychodzi z tego porównania jak najbardziej zwycięsko. Jego szkoła wytrzymuje znakomicie próbie czasu. Z tej szkoły wywodzi się przecież Jan Kott — najlepszy dziś krytyk teatralny, którego „Szkice o Szekspirze” doczekały się rozgłosu i uznania w całej Europie. Nie jest też przypadkiem,



że pisma Boya ukazują się z jego przedmowa i w jego opracowaniu. Czytając „Flirty z Melpomeną”!

str. 6

odgłosy

kradł z biedy, może zmusiła go do tego czyjaś choroba, własna zła sytuacja, złe towarzystwo, czyjaś zła rada? I tragiczne jest, że nawet takiej przyczyny ich upadku podać nie można. Nie popełniali przestępstw dlatego, że nie mieli co do garnka włożyć, że brakowało im na chleb, na ubranie, na buty. Kradli nie po to, aby mieć pierwszy samochód, ale drugi i trzeci; nie kradli po to, aby zbudować domek, ale aby mieć jeszcze jedną willę, zapisaną na żonę, teściową, czy prababkę.

Znajomi ich i przyjaciele, często gesto zwierzchnicy — byli zdumieni rozmiarami popełnianych przestępstw. Zeznając jako świadkowie nie ukrywali zdziwienia ani zaskoczenia faktem, że ci ich — tak wytworni, tak kulturalni i tak przyjemni znajomi — to po prostu kanclarzy, oszuści, fałszerze, złodzieje.

„Spotykał się pan z oskarżonym prawie codziennie na czarnej kawie, grał pan z nim w brydża, jeździł pan z nim jego samochodem na wycieczki — pytał sąd pewnego świadka, — Zapewne niejednokrotnie rozmawialiście na dziesiątki tematów. Czy nigdy świadkowi nie przyszło na myśl: skąd oskarżony miał pieniądze na samochód, na wytworny tryb życia, na karty?”

„Nigdy się nad tym nie zastanawiałem” — padła odpowiedź.

Otóż to. W pewnych naszych środowiskach wystarczą mieć dobre maniery, być dobrze ubranym, mieć zawsze pieniądze, samochód, znać się na koniakach, wyjeżdżać z „Orbisem” na zagraniczne wycieczki, nie an gażować się w sprawy polityczne — a jest się wszędzie mile widzianym, szanowanym, cenionym, ma się wstęp wszędzie. Przesztano pytać o morale człowieka, przestały być ważne jego poglądy społeczne, czy polityczne — najlepiej kiedy nie ma żadnych poglądów. Przesztano pytać, czy pracuje i gdzie pracuje, ile zarabia i skąd ma na taki, a nie inny tryb życia.

Dlaczego? Dlaczego przesztano o to wszystko pytać, gdy kiedyś pytało o to aż za wiele? Czy przesztano pytać, ponieważ kiedyś pytało aż za wiele?

Nie. Sprawa ma zupełnie inne podłoże. Zło — moim zdaniem leży, w coraz bardziej ugruntowującym się w niektórych naszych środowiskach ideale życia dla siebie. Zło — moim zdaniem — leży po prostu w braku ideowości.

★

Przed dobrych kilku laty nasza propaganda wmaiała ludziom w sposób bardzo uproszczony, że za granicą, na Zachodzie, panuje nędza i głód. Potem rozpoczęły się wyjazdy za granicę, służbowe, prywatne i turystyczne. Wycieczkowicz „Orbis”, odbywający podróże po kapitalistycznym kraju, który oglądał z okna „Orbisowego” autokaru — nabierał przekonania i z takim przekonaniem wracał do Polski — że za granicą każdy robotnik posiada samochód i pięciopokojowe mieszkanie. Odtąd taki facet wszystko to, co pisała nasza propaganda skłonny był traktować jako „lipe”, czy „nabieranie gości”. Nie potrafiono mu wytłumaczyć zawitych spraw kapitalistycznej ekonomiki, historii tej ekonomiki w zależności od

poszczególnego kapitalistycznego kraju, różnicy między sytuacją całej klasy robotniczej, a poszczególnych jej warstw mniej lub więcej uprzywilejowanych. Nie umiano wyjaśnić tak zdawałoby się prostego zagadnienia jak sfera wolności burżuazyjnej i wolności socjalistycznej. W rezultacie problem wolności zwulgaryzowano do jednego jedynego momentu, czy można krzyknąć „przeciw”. W rezultacie także hasło, dogonić kraje kapitalistyczne” sprowadziło się w umysłach nawet i naszych niektórych partyjnych towarzyszy do „dogonienia” ideałów kapitalistycznego społeczeństwa,

ciami na bandę chuliganów? Po co? W obronie jakiegoś tam staruszka? Oberwać guza przez kogoś? Każdy — proszę państwa — żyje tylko raz i tylko dla siebie. Śmierć frajerom!”

Tak w praktyce wygląda postawa antyheroiczna. Ma ona zresztą i swoje większe społeczne konsekwencje. Wyrażają się one w postawie człowieka w walce ze złem, w jego uczuleniu na zło.

Powiedzmy sobie szczerze: pojęcie „jednostka bzdura, jednostka niczym” zostało przez niektórych przyjęte bardzo jednostronnie. A w każdym razie w ten sposób, że niektóre jed-

„świętego spokoju”. Każdy, kto się jej przeciwstawi, uznany jest natychmiast za człowieka, który próbuje innych skłócić, wprowadzić niezdrówą atmosferę, „dezintegruje” — to jest ostatnio modne słowo, którym utracą się tych wszystkich, co próbują przeciwstawić się złu.

I tak rozpoczynają się kłopoty. Jeśli ów facet ma dość twardy kręgosłup, to dopuka się, gdzie trzeba, zwycięży i wypędzi zło. Jeśli ma słabszy charakter, załamie się i będzie siedział cicho, póki ktoś inny nie podejmie walki i nie sprowadzi prokuratora. A potem następuje komunikat

znaczy żyć? Czy można żyć bez ideałów? A czy są piękniejsze ideały poza socjalizmem, poza ideałem równości społecznej? W tych ideałach leży siła i atrakcyjność socjalizmu, tu leży fakt, że socjalizm przestaje być jak niektórzy mówią pogardliwie „filozofią nędzarzy”, a nie traci nic na swej sile nawet w krajach gdzie klasie robotniczej żyje się lepiej. Nasi „kawiarniani prorocy” wyrażają wtedy zdumienie: „I po co taki człowiek walczy o socjalizm, skoro ma już i telewizor, i ładne mieszkanie, i domek za miastem”. Niektórzy strywalizowali, zwulgaryzowali pojęcie socjalizmu,

tów i patriotów, którzy oddali swoje życie w walce o dobrą sprawę? Czy każda przelana krew poszła na marne?

Dziś nie ma potrzeby żądać od obywateli owego wielkiego sprawdzianu patriotyzmu jakim jest gotowość oddania życia za ojczyznę. Dziś żądania wobec obywatela są inne (małe), sprawdzają się do dobrego wykonywania swoich obowiązków, nieuchylania się przed odpowiedzialnością, przed trudnościami. Te żądania są tak małe, że niektórym wydają się żądane. Pora przypomnieć wielu ludziom, że jeśli chce się żyć w społeczeństwie — trzeba nie tylko brać, ale i dawać z siebie to, co się ma najlepszego. Musimy na każdym kroku kompromitować ideał życia dla siebie, jako ideal społeczeństwa burżuazyjnego.

Powinno być zasadą, aby wstępujący w życie młody człowiek musiał legitymować się spełnieniem swego obowiązku wobec państwa i narodu, aby wylegitymował się pracą i działalnością na odcinkach najtrudniejszych, które stały się sprawdzianem jego postawy, jego charakteru, jego umiejętności. „Stypendia i inne świadczenia oraz bezpłatność nauki — czytamy w referacie na XIII Plenum — młodzież zwykła traktować jako jednostronny obowiązek państwa. Część młodzieży po ukończeniu studiów uchyla się od podejmowania pracy bez pośrednio w produkcji i w ośrodkach prowincjonalnych, kieruje się wygodnictwem i po mieszczańsku rozumianą troską o „urządzenie” sobie życia. Niedobre się stało, że przez szereg lat rząd i partia tolerowały stan, w którym korzystanie z bezpłatnych studiów i pomocy państwa nie pociągało za sobą żadnych konkretnych zobowiązań ze strony absolwentów szkół wyższych”.

Musimy przywrócić właściwą rangę takim słowom jak „ideały”, „ideowość”. Dla pisarza, który jest sumieniem swojego narodu, a myśle, że i dla każdego uczciwego człowieka — nie jest obojętne, czy żyje w społeczeństwie posiadającym ideały i walczącym o nie, czy też żyje w społeczeństwie bezideowym. Historia ludzkich społeczeństw uczy nas, że nawet najwspanialsze i najpotężniejsze społeczeństwa musiały upaść i zginąć z chwilą, gdy straciły swoje ideały, gdy jedynym ich ideałem stawało się życie dla siebie.

I podobnie dzieje się z każdym poszczególnym człowiekiem. Póki posiada ideały, póki o nie walczy, póki są one busolą w jego życiu — póty rozumie sens swego istnienia i sens każdego swojego kroku. Gdy straci ideały, gdy je porzuci, gdy zaczyna żyć nie z myślą o innych lecz tylko o sobie, wówczas wydaje mu się, że wszystko mu wolno, że wtaś ciewie nie ma granic dla tego co powinien osiągnąć i próbuje osiągnąć to wszystko kosztem innych, nie licząc się z innymi, licząc się tylko z sobą. A wtedy nie ma zła, którego w imię siebie gotów jest dokonać, nie ma podłości, do której nie byłby zdolny. I sam się biew wyrzuca poza społeczeństwo, trafiając na lawę oskarżonych.

O wielkiej potrzebie ideowości myśle czytając materiały XIII Plenum.

ZBIGNIEW NIENACKI

odgłosy

str.
7

Nad materiałami XIII Plenum

O POTRZEBIE IDEOWOŚCI

a więc właśnie do życia dla siebie. Była w tym — mówimy to wcale nie uogólniając — świadoma zgoda na wprowadzenie do naszej struktury społecznej cech zupełnie innego społeczeństwa, a więc skrajnego egoizmu, osiągnięcia luksusu każdym kosztem, wybijania się przy pomocy silnych pięści, cwaniactwa, ideałów życia ułatwionego za wszelką cenę. Te wszystkie tak przecież okropne cechy społeczeństwa burżuazyjnego, miały u nas nie wiadomo dlaczego „zakwitnąć” jak najwspanialsze kwiaty. Tak w każdym razie wydawało się niektórym naszym „globtroterom”, „bywalcom”, „kawiarnianym prorokom” za pieniądze Polski Ludowej odbywającym wojaże i rozpisującym się o nich wystarczająco szeroko. To oni wymyślili ów dowcip: „Byłeś na Zachodzie? Widziałeś umierający kapitalizm? Tak, byłem, widziałem. Ach jaka to piękna śmierć!”

Jeśli do tego dodać, że równocześnie dokonano u nas skądinąd bardzo pożytecznego rozrachunku z „postawą heroiczną”, wyszydzone i wydrwiono jakiegoś wielkiego poświęcenie się dla jakiegokolwiek sprawy, że w rezultacie próbowano stworzyć atmosferę, w której pojęcie „ideał”, „ideowość” — to były sprawy dla głupców, dla naiwniaków, dla frajerów, to nie trudno się domyślić jaki mętklik powstał i jaki jeszcze istnieje w umyśle niejednego inteligenta w Polsce. Muszę przyznać, że zawsze mnie dziwiła niekonsekwencja niektórych naszych publicystów. W jednym tygodniu drwił z heroicznej postawy Polaków, których porównywał do współczesnych Don Kichotów, a w następnym tygodniu — dziwił się i ręce targał, że gdy banda chuliganów napadła na ulicy bezbronnego staruszka, nikt z przechodniów nie pomógł z pomocą? Czy ten publicysta nie zdawał sobie sprawy, że właśnie tak, a nie inaczej wyglądają konsekwencje postawy antyheroicznej?

„Rzucić się z gołymi pię-

nościami ludzkie nie poczuwały się do niczego, do żadnych obowiązków, do żadnych decyzji. „Kradną obok? Niech kradną, co mnie to obchodzi. Od złodziei jest milicja”. Oto konsekwencje uczenia ludzi, że rola jednostki sprwadza się do zera, że jednostka jest niczym, że jej postawa nie ma żadnego znaczenia, że jednostkowe działanie jest czymś śmiesznym i anachronicznym.

Co tu zresztą dużo gadać, niemal cała współczesna sztuka uczy współczesnego człowieka, że jednostka, która ośmieli się przeciwstawić złu, musi ulec zmiżdżeniu. „Czy więc warto to przeciwstawić się złu, skoro przeciwstawiając się mu, będę okrzyknięty śmiesznym Don Kichotem walczącym z wiatrakami?” Więc facet z okna patrzy jak przy budowie sąsiedniego bloku mieszkalnego kradną materiały budowlane i ani piś nie o tym nikomu. Nawet nie ma z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Bo one są także „reliktem” przeszłości. Człowiek nowoczesny nie powinien mieć żadnych wyrzutów sumienia. Bo co mu z nich przyjdzie? Zapłacą mu za nie, za mochę, za nie kupi, lodówkę, telewizor?

Dostrzeżone i w porę wskazane zło zostaje usuwane, taki jest porządek socjalistycznego państwa. Nie jest przypadkiem, że ludzie — o których wspominałem na początku swego artykułu — zasiedli na lawie oskarżonych, a dziś pozostają w więzieniu, albo oczekują swej rozprawy. Ale czy zdajemy sobie sprawę ile musiał wycierpieć człowiek, który spróbował zdemaskować owo zło?

Najpierw zapewne zyskał sobie opinię „rozrabiacza”. Takiego faceta, co to kiedy wszyscy są szczęśliwi i zadowoleni, on jeden kręci na wszystko nosem i powiada, że coś jest nie w porządku. Bo przecież prawdą jest, że w niektórych organizacjach partyjnych jedyną polityką jaką się proponuje członkom, to polityka

w gazecie i sprawozdawca sądowy wyraża zdumienie, że ktoś tam kradł, aż kilka lat i nikt tego nie zauważył? Nie zauważył? A czy to można tak kraść, aby rzeczywiście nikt nie zauważył?

Przyczyna niedostrzeżenia zła leży zazwyczaj — moim zdaniem, powtarzam — w braku ideowości. Jest niemal regułą, że w tych zakładach pracy, gdzie zdarzały się nadużycia — że pracowały organizacje partyjne, panowały tam jasne pańskie stosunki, było tam coś w rodzaju dworu, gdzie wokół sekretarza czapkuje tłum dworaków, gdzie niczego nie można załatwić wprost, tylko robi się to przy pomocy jakiejś tam „diplomacji”, przeróżnych „gier” i tak dalej, gdzie sprawdzianem człowieka przestaje być jego praca i jego stosunek do pracy, ale dobre maniery i dobre ułożenie. Zebrania partyjne w takich organizacjach przyominają „coctail-party” u cioci na imieninach, gdzie podaje się czarną kawę i prawi „dusery”, i tylko od czasu do czasu trafi się jakaś „parszywa owca”, która spokojli towarzyszy zamęci. Zli towarzysze nazywają to nowym stylem pracy partyjnej, który w praktyce sprowadza się do zupełnego zaniku ideowości, bojowości, ofensywności.

A tymczasem i w samej partii oraz poza nią, w całym społeczeństwie — istnieje ogromna potrzeba ideowości. Istnieje ona także u wielu twórców. Po prostu ludzie nie chcą być nie znaczącą śrubką w wielkiej społecznej maszynie, ale pragną, aby ich postawa, ich praca, ich działanie — poważnie się liczyło, aby działanie ludzkie miało swój wielki, głęboki społeczny sens. W końcu każdy zdrowo myślący człowiek zaczyna rozumieć, że nie żyje tylko po to, aby sobie sprawić lodówkę, telewizor, samochód, ale sens naszego istnienia wybiega daleko naprzód. Że w końcu nie żyje się po to, aby jeść, ale żeby żyć. A co to

sprowadził go do problemu telewizorów, lodówek, aparatów do golenia, samochodów osobowych.

Nie rozumie się podstawowej prawdy, że ideał życia dla siebie jest niemożliwy w kraju, którego cała struktura społeczna i ekonomiczna obliczona jest nie tylko na życie dla siebie, ale i dla innych.

Tej ogromnej społecznej potrzeby ideowości wychodzi naprzeciw XIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR. Istota tego plenum polega na przypomnieniu czym jest naprawdę socjalizm, jakie są jego ideały i jak te ideały realizować w warunkach dyktatury proletariatu. W materiałach tego Plenum znajduje się odpowiedź na podstawowe pytanie: co to jest wolność w pojęciu kapitalistycznym i co to jest wolność w pojęciu klasy robotniczej. Na tym Plenum przypomniano, że jedynym kryterium oceny człowieka w naszym ustroju jest jego praca, jego stosunek do pracy i do społeczeństwa. Bo przecież niezbitą prawdą jest, że zupełnie nie znane są szerszemu ogółowi imiona i nazwiska ludzi, których ofiarności i bohaterstwo w pracy ma znaczenie dla zapewnienia bytu materialnego całego społeczeństwa. „Upowszechnienie ich przykładu ich poczucia obowiązku wobec swego państwa i narodu, rozbudzenie w najszerszych kręgach społecznych umiłowania i szacunku dla pracy ludzkiej, troski o własność socjalistyczną — to jedno z niezmiennych i centralnych zadań wychowawczych partii” — czytać można w referacie wygłoszonym na XIII Plenum KC PZPR.

Z tym zagadnieniem nieodłącznie wiąże się problem rozbudzenia uczuć patriotycznych w społeczeństwie, a przede wszystkim u młodzieży. Czy mamy prawo wydrwinać każdy „heroizm”? Czyż każdy heroizm, ofiarności, gotowości na wszystko jest zaraz donkiszoterią i Somosierrą? Czyż można sobie wyobrazić powstanie Polski Ludowej bez heroizmu tysięcy komunis-

Zbyt DŁUGI IMPAS LKS

CZAS na WNIOSKI

Dyskusja na temat zbyt długiego impasu w LKS toczy się na łamach „Odgłosów” już prawie dwa miesiące. Zabierali w niej głos ludzie z różnych środowisk – dziennikarze, wybitni fachowcy piłkarscy, działacze sportowi, nie zabrakło też wiernego kibica i członka klubu. Pisali na różne tematy dotyczące najpopularniejszego w Łodzi klubu sportowego, krytykowali błędy zarządu i kierownictwa sekcji piłkarskiej, chwaliłi za dobre i przemysłane pociągnięcia, polemizowali z poszczególnymi dyskutantami, wskazywali drogi, jakimi należy kroczyć, by poprawić istniejącą sytuację, radzili co ich zdaniem trzeba zrobić, by drużyna piłkarska grała lepiej – słowem troszczyli się o to, by pomóc działaczom w ich często trudnej, ale wdzięcznej roli.

Wszyscy bez wyjątku zastępowali się, że choć krytykują i stawiają zarzuty, nie czynią tego, by kogokolwiek dotknąć lub urazić, a mają na względzie jeden jedyny cel – dobro LKS i lepszą przyszłość jego pierwszoligowej jedenastki. Muszę tu z pełną satysfakcją podkreślić, że zamieszczone w „Odgłosach” artykuły dotyczące LKS mimo że posiadają wiele momentów polemicznych, nie zawierają nawet najdrobniejszych inwektyw, nikogo nie obrażają – co – moim skromnym zdaniem – świadczy o wysokim poziomie dyskusji.

Dziś, gdy przypała mi w udziale wdzięczny obowiązek podsumowania tej publicznej debaty – pokuszę się na danie odpowiedzi na pytanie, które zadawali początkowo niektórzy przyjaciele LKS-u oraz jego działacze: Czy taka

twierdzić, że była niepotrzebna lub nie na czasie.

Gdy jako dziennikarz wysłuchałem na naradzie aktywistów kulturalnego, prasy, radia i TV tego rodzaju opinii o potrzebie rzeczowej i konstruktywnej krytyki z ust sekretarza KL PZPR – Michalina Tatarakówny – Majkowskiej, doszedłem do nieodpartego wniosku, że nasza dyskusja była potrzebna i celowa. Taka właśnie życziwa krytyka przyda się klubowi i jego działaczom, a w efekcie, gdy się skorzysta z uwag i wskazań ludzi, którzy się znają na piłce nożnej i dobru LKS leży im na sercu – nie innego poza poprawą sytuacji wyniknąć nie może.

Tym wszystkim osobom, nie wyłączając członków Zarządu LKS, którzy w rozmowach ze mną starali się sugerować, że cała „ta burza” jest szkodliwa i niepotrzebna – odpowiadam krótko: nie macie racji, bo na poparcie swego twierdzenia nie dysponujecie żadnymi argumentami. Ze tego rodzaju publiczną debatą nie odpowiada krytykowanym, trudno się dziwić. Już taka jest natura ludzka, że nie bardzo lubi wysłuchiwać uwag i to na łamach prasy. Najważniejszy jest jednak cel, jakiemu te krytyczne uwagi służą. A przeciwko zadaniom były postawione prosto i zwięźle – dobro LKS, o o to nikt do nikogo nie może rościć urazy.

Jest sprawą wewnętrzną Zarządu klubu, że nie wypowiedział się w tak ważnych dla niego kwestiach. Za milczenie nie można mieć do kogokolwiek pretensji. Może natomiast przeciętny kibic LKS zadawać sobie pytanie, czy naprawdę kierownictwo klubu nie ma na ten temat

ner koordynator mgr E. Lubna wyraźnie o tym pisał w swoim artykule.

On też z satysfakcją zaznaczył, że kierownictwo silnie zainteresowało się zagadnieniami szkoleniowymi. Należono obowiązek prowadzenia dzienników zajęć przez trenerów wszystkich stopni. Powołano również radę trenerów, a jej przewodniczącym ma koordynować zajęcia we wszystkich drużynach. Rozpoczęto również prowadzenie treningu indywidualnego, czego dawniej nie było, bądź robiono to bardzo rzadko.

Oddzielny fragment stanowi opieka nad zawodnikami stanowiącymi trzon pierwszoligowej drużyny i nad rezerwami. I znowu na plus sekcji piłkarskiej należy zapisać jej duży wkład w zapewnienie piłkarzom należytych warunków bytowych. Na tym jednak nie powinna kończyć się opieka i zainteresowanie. Trzeba wiedzieć, co zawodnicy robią po treningach, co ich interesuje, jak spędzają wolny czas. Dla tych celów służyć powinien wspaniały lokal klubowy, gdzie na kulturalnych rozrywkach i przyjacielskich pogawędkach powinni spędzać wieczory spadkobiercy „rycerzy wiośni”, którzy mają wszelkie zadatki ku temu, by ten przydomek odzyskać.

Wszelkie troski i kłopoty osobiste każdego zawodnika powinny być znane kierownictwu sekcji, bo przecież nie jest rzeczą obojętną, z jakim nastawieniem psychicznym piłkarz staje do trudnego spotkania mistrzowskiego. Jest również ważną sprawą osobistej opieki lekarskiej i to nie tylko w wypadkach kontuzji.

Jestem zwolennikiem wychowywania przez klub i to w dodatku o tak bogatych tradycjach, własnego narybku, by potem móc chwalić się talentami swojego „chwu”. Gdy jednak zachodzi konieczność pozyskiwania piłkarzy z innych drużyn, to musi być zapewniona gwarancja, że „import” jest dobrej jakości, a nabytek prezentuje kunszt piłkarski pierwszej gildii. Jeżeli jednak „handlowe transfery” się nie udają, to trzeba mieć odwagę i przyznać się do tego, że „kupuć” byli słabi, bądź po prostu ktoś ich nabral. Na tego rodzaju ryzyko klub w przyszłości nie może sobie pozwalać, dbając o swoje interesy i prestiż.

Nie podzielał opinii p. Janusza Marciniaka, który w swym doskonale stylistycznie ujętym wywodzie, pisze o nieprzychylnych opiniach widzów i prasy w stosunku do drużyny piłkarskiej LKS. Te właśnie czynniki zdaniem autora załamały drużynę psychicznie. Chyba naprawdę tak nie jest. Sportowa prasa łódzka odnosi się do swoich pierwszoligowców z taką życzliwością i co tu dużo ukrywać – pozbawianiem, że doprawdy inaczej jak niezadowolona krzywdą nie można określić tego stwierdzenia. A publiczność łódzka, znana ze swego obojętności, szaleje za LKS-em i z gorącością przeżywa jego porażki. Tylko słaby psycholog może domagać się, by kibice sportowi widząc swój słabo grający zespół ryczeli z radości. Przecież to nie byłoby normalny objaw. Właśnie kibice piłkarski ma to do siebie, że wścieka się ze złości, gdy pupul przegrzawa, wyrzeka, przeklina... i znowu idzie na boisko, by witać swoją drużynę oklaskami. Nie wolno pod żadnym pozorem zarzucać łódzkiej widowni nieprzychylności. Byłoby to dla niej krzywdzące i dlatego właśnie podjąłem tę polemikę.

Jestem niepoprawnym optymistą i wierzę niezłomnie, że impas w LKS, o którym tyle napisano, ma się ku końcowi.

Artykułem Zb. Skibickiego kończymy dyskusję na temat impasu w LKS. Dalszych wypowiedzi nie będziemy zamieszczać. Przepraszamy wszystkich, którzy nadesłali nam swoje wypowiedzi na powyższy temat już po oddaniu do druku artykułu Zb. Skibickiego.

PRZECIWKO LĘKOWI

Poświęcam Hani

Dziewczynka siedzi smutna, samotna trzyma się z dala od koleżanek i kolegów. I Hania – jak zwykle – pograża się w myślach. Są to myśli – obrazy, które przypominają jej smutną przeszłość i malują nie mniej smutną przyszłość. Nie może się od tych myśli oderwać. Profesor powiedział jej, że za dzień będzie odpowiadała z historii z całego przerobionego dotychczas materiału, ponieważ jeszcze w obecnym okresie nie odpowiadała. Hania uczy się, przerobiła wszystko. Jest tylko niespokojna, straciła apetyt, źle sypia i ciągle rozmyśla o tym, jak będzie mówiła, czy się dobrze wypowie. O wiadomości obaw nie ma, jest przygotowana dobrze. Powtarza sobie matre zdanie „chcieć to móc” i silnie postanawia, że jeśli zostanie zapytana, będzie odpowiadała, że się przełamie. Tłumaczy sobie – po raz już nie wiem który – dlaczego miałaby nie mówić?

Nadchodzi zapowiedziany dzień. Hania jest coraz bardziej niespokojna, nie może dać sobie rady z obrazami, które do najdrobniejszych szczegółów pokazują jej przyszłość, niefortunną odpowiedź i ku jej własnemu zdziwieniu i jak się później okaże, rzeczywistość będzie tylko kopia ucieleśnieniem jej obaw.

Lekcja historii. Wchodzi profesor. Wszyscy wstają na powitanie, jest cisza. Profesor cieszy się wśród uczniów dużym autorytetem, imponuje młodzieży. Jest wysoki, młody, przystojny, nienaganie ubrany, ma rozległą wiedzę, jest zawsze konsekwentny, a przede wszystkim sprawiedliwy. W ocenach nie kieruje się nigdy osobistymi sympatiami i antypatiami. Hania widzi, że profesor sięga po dziennik i wpatruje się w nazwiska. Przeżywa tortury, nie wie, co się z nią dzieje. Serce jej zaczyna bić gwałtownie, oddech przyspiesza się. Po chwili, która wydaje się Hani wiecznością, pada nazwisko... Profesor podaje temat: Początek II wojny światowej. Hania wstaje, robi się biała, serce jej zamiera, wstrzymuje oddech, usiłuje wydobyć głos, usiłuje mówić i nie może... Próbuje raz, drugi, trzeci. Dale za wygraną i milczy. Profesor przygląda się, czeka jedną minutę, drugą, w klasie cisza. Hania przeżywa już teraz wstyd i upokorzenie, chciałaby zapaść się pod ziemię. Po chwili słyszy spokojny, głos profesora: „znów nie nauczyłaś się, a zapowiedziałem, że będę pytał: Dziękuję, siada!”.

Hani wydało się, że wszyscy koleżdy i koleżanki uśmiechają się ironicznie; czuje, mimo spuszczonej głowy, że sa wyraźnie rozbawieni całą sceną. Jedną tylko z koleżanek wstaje i tłumaczy nieśmiało: „panie profesorze, Hania naprawdę umie, przecież opowiadała mi to”. Profesor odpowiada: „tak wy zawsze wszystko umiecie... gdyby umiała, to by odpowiedziała”. I w tej chwili myśl profesora biegnie dalej, ma duży program roczny do zrealizowania – nie może tracić czasu, dziś jeszcze musi odbyć wykład i jedna osoba przepięta. Pada następne nazwisko. Wstaje chłopiec. Temat recytuje płynnie, swobodnie, od czasu do czasu, gdy czegoś nie wie, nadstawia ucho na podpowiedzi kolegów i mówi dalej. Tak ten przygotował się do lekcji.

Hania wraca do domu. Rozpamiętuje całą scenę, wie, że profesorowie mają ją za leniwą i niezdolną; koleżanki i koleżdy za symulantkę, która gra rolę pokrzywdzonej, kiedy jest nieprzygotowana do lekcji.

Zwracała się do lekarza. Wysłuchała bardzo uczonych wywodów, dowiedziała się, że jest zdrowa, tylko nerwowa, ale to wkrótce minie jak tylko zużyje nadełko „cudownych tabletek”. Niestety, nie minęło, mimo upływu dwóch lat. Czasami Hania zniechęca i zrzeczowana stawia sobie pytanie: po co się uczyć, skoro czy umie, czy nie umie,

zawsze dostaje dwójkę. Przez parę tygodni Hania nie uczy się. Niekiedy ma chęć porzucić szkołę. Nie wierzy w otrzymanie matury, przyszłość widzi w najciemniejszych kolorach.

Hania nie rozumie sama siebie. Podczas paury mówi płynnie, natomiast podczas lekcji, choć jest przygotowana, wie co mówić i chce mówić, nie może wydobyć głosu nie może mówić; podczas jednych lekcji czuje się lepiej, podczas innych gorzej. Hania z rozrzewieniem i wdzięcznością wspomina pewną polonistkę, która zresztą uczyła ją krótko. Polonistka młoda, pełna zapału, obdarzona dużą intuicją, człowiek dobry... Polonistkę zastąpiła dziewczyna Hania ładnie i mądrze pisze wypracowania, a źle odpowiada, lub nie odpowiada. Zbliżyła się do dziewczynki, umiała pozyskać jej zaufanie. I – o dziwo – ta skryta i zamknięta w sobie dziewczynka zaczęła otwierać przed nią duszę. Nauczycielka zaczęła poznawać jej uczucia. Przekonała się, że Hania wie dużo, że jest bardzo czytelną nie tylko w literaturze obowiązkowej, ale też umie myśleć samodzielnie. Między Hanią a nauczycielką stopniowo zaczęła się zawiązywać nie sympatia. Nauczycielka podczas lekcji uśmiechała się do Hani, patrzyła na nią swymi dobrymi oczyma i uzyskała to, że Hania zaczęła odpowiadać początkowo w małym gronie koleżanek. Nauczycielka była jak najlepszej myśli. Hania zaczęła nabierać otuchy i wiary. Niestety, nauczycielka opuściła szkołę i wszystko wróciło do poprzedniego stanu.

Czasami chwytają Hanię rozpacz. Zastanawia się po co żyć, skoro tak bardzo musi cierpieć. Po co to wszystko? Słyszała że będzie potępiona na wieki, jeśli popelni samobójstwo. Hania pyta: za co? I nie znajduje odpowiedzi. Hania idzie więc dalej: Myśli o tym, że należy pozbyć się wszystkich pragnień, niczego nie chcieć, być całkowicie bierną. A jednak myśli z obawą a jeżeli w tej bierności, do której zdążyła, zachowa swą indywidualność, „eśli nie zatraci jej, co wówczas?..”

Myśli i o tym że po śmierci stanie się kwiatkiem, ale boi się, że droga przemian stanie się ponownie częścią człowieka. Zastanawia się również z niepokojem nad tym, że jej myśli – obrazy jako falowania elektromagnetyczne, jako coś materialnego, popłyną edzień w kosmos i po milionach lat świetlnych, dojrą do odległych planet i może tam jakieś istoty rozumne pochwyta te myśli i odczytają je, a Hania chce ukryć to, co ją gnębi i boli; dlatego też woli gdy posadzą ją o lenistwo, niż mieliby domyślić się prawdy.

A ja chciałbym już dziś przyniknąć przyszyły los Hani. Czy dużo jest dzieci podobnych do Hani w Polsce, na świecie?

Oto kilka suchych liczb, które podaje w zaokrągleniu. Liczby odnoszą się do Łodzi, ale w przybliżeniu można je odnieść do dzieci w całej Polsce. Po przebadaniu 23.000 dzieci klas II, III i IV łódzkich szkół podstawowych na obecność zaburzeń mowy wykryto: 6 proc. dzieci z zaburzeniami mowy, w tym 4 proc. dzieci jaskających się. Zaburzenia mowy częściej występują u chłopców niż dziewcząt, za to większość dziewczynek tragiczniej przeżywa swoje dolegliwości niż chłopcy. Dlaczego? To chyba jasne. Stosunek liczby chłopców z zaburzeniami mowy do dziewcząt z zaburzeniami mowy wyraża się liczbami 3:1.

Stosunek ilości chłopców z belkotem do ilości dziewcząt z belkotem jest jak 3:1, a stosunek chłopców jaskających się do dziewcząt jaskających się jest 4:1. Nie ma jeszcze dalszych badań potwierdzonych liczbami, ale wiadomo, że ilość belkotu

nawet nie leczonego w klasach wyższych zmniejsza się, ilość jaskania w klasach wyższych utrzymuje się, lub nawet zwiększa. Wiadomo również, że jaskanie nie wyleczone w dzieciństwie doprowadza do rozwinienia się silnych patologicznych zaburzeń emocjonalnych i w ten sposób nerwicowe zaburzenia mowy ugruntuują się. Wiadomo również, że bardzo duży procent młodzieży starszej z klas wyższych, nawet tej, która nie jaskała się, cierpi na leki, związane z mową; oczywiście na leki o innym tle. Jest faktem charakterystycznym i trzeba to dobitnie podkreślić, że leki te ujawniają się i rozwijają na terenie szkół.

Czy można pomóc tym dzieciom? Czy warto im pomóc? W większości wypadków na pewno można pomóc, lub można złagodzić ich cierpienia. Na drugie pytanie daje odpowiedź VI ogólnopolski zjazd higieny psychicznej, który skupił pedagogów, psychologów, socjologów, psychiatrów, lekarzy. Na zjeździe wygłoszono kilka referatów, które podkreślały korelację między zdolnościami a psychoneurozami. Wszystko to przemawia za tym, że los upośledzonych dzieci nie los upośledzonych i w ten sposób powinien być nam obojętny ogólnowo, jak i stanowiska społeczne i państwowe.

Powszechnie wiadomo, że czynniki emocjonalne, którym podlegamy, mają wpływ na nasze czyny, na naszą mowę, która jest czynnością psychologiczną. Nauczyciel z racji swego zawodu jest tym, który umie wywierać wpływ na uczniów, powinien więc być również mistrzem w kierowaniu uczuciami swych wychowanków. Nauczyciel, który po trafi wzbudzać w swym wychowanku uczucie spokoju, wiary we własne siły, będzie podchodził do niego serdecznie, będzie mu udzielał kilku wskazówek, dotyczących fizjologii mowy, będzie przyczyniał się do zaniku nerwicowych zaburzeń. I właśnie takie postępowanie nauczyciela będzie zgodne z poczuciem sprawiedliwości i ze wskazaniami wielkich pedagogów. Od postępowania nauczyciela często zależy, czy jaskanie zaniknie, czy spotęguje się, czy też pojawiają się nowe wypadki nerwicowych zaburzeń mowy. Bez pomocy i współpracy nauczyciela trudno jest pomóc w porażkach leczących zaburzenia mowy, ponieważ jaskanie występuje głównie w szkołach, tam gdzie jest duże napięcie nerwowe, zwłaszcza u dzieci wrażliwych. Nauczyciel również może pomóc w usuwaniu belkotania wykorzystując swoją znajomość fonetyki. Przyczyni się w ten sposób do poprawy wymowy i pisowni dziecka, gdyż małe dziecko tak pisze, jak wy mawia.

To wszystko uprawnia nas do wysunięcia kilku postulatów pod adresem władz szkolnych.

Powinniśmy za przykładem Związku Radzieckiego utworzyć szkoły dla dzieci z zaburzeniami mowy. Dzieci te byłyby pod opieką specjalnego personelu pedagogiczno-lekarskiego, obeznanego ze zwalczaniem wad mowy. Tutaj dzieci zdobywałyby wykształcenie, pozbywały się swojej wady, i nie czułyby się tak źle psychicznie, jak w środowisku dzieci dobrze mówiących. Powinniśmy w Zakładach Kształcenia Nauczycieli wprowadzić naukę ortofonii i przeszkalać przyszłych nauczycieli teoretycznie i praktycznie. Aby szerzyć wiedzę praktyczną powinno się przy Studium Nauczycielskim otworzyć szkoleniowy ośrodek ortofonijny. Tak przeszkolony i uczulony na zaburzenia mowy i głosu nauczyciel będzie swą wiedzą przenosił na teren swej przyszłej pracy w szkole. Znajomość działu ortofonii – higieny mowy i głosu – będzie dla niego solidną podstawą pod kulturę żywego słowa, a więc naukę którą wykładają w Studiach Nauczycielskich. Ortofonię wyklada się w tej chwili nauczycielom szkół specjalnych, a powinno się ją wykladać wszystkim przyszłym nauczycielom, ponieważ dzieci z zaburzeniami mowy spotykamy we wszystkich typach szkół, a nie tylko w szkołach specjalnych.

Powinniśmy wreszcie dzieciom z zaburzeniami mowy ułatwić zdawanie egzaminów, kładąc nacisk na egzaminy pisemne, ponieważ dzieci te, mimo, że umiają często wiele z tego, co im się nauczycielowej mowy wypadają zawsze gorzej. Jeśli pójdziemy tą drogą, to nasze Hanie będą wspominały szkołę jak najlepiej.



dyskusja publiczna i krytyka jest potrzebna, czy prowadzona jest w odpowiednim czasie i czy przyniesie ona klubowi korzyści?

Nim jednak sformułuję konkretną odpowiedź, niech mi będzie wolno zwrócić uwagę tych wszystkich, którzy byli i są jej przeciwni, na zasadniczy i ważny moment. Krytyka jest wówczas konstruktywna i pożyteczna, jeżeli w sposób nieobraźliwy, ale stanowczy wytyka błędy poparte faktami i udokumentowane, a następnie wskazuje linię, po której należy postępować, by błędów tych uniknąć. Jeżeli krytyka jest nacechowana życzliwością i zmierzona do jednego celu: wyeliminowania zła – nikt nie może się czuć dotknięty, ani

nie do powiedzenia? A jeżeli ma – i tak jest na pewno – to dlaczego milczy?

Skoro jednak potrafiliśmy w dyskusji wytykać złe strony i błędy, byłbym niezgodny z własnym sumieniem, przemilczając dobre i korzystne pociągnięcia, jakich dokonał LKS w ostatnim czasie. Przede wszystkim postawiono na młodzież. Przeprowadzono cięcie, na które niełatwo było się zdobyć, choć sugerowano ten krok już dawno. Odwagę się cenili nawet wówczas, gdy jest nieco spóźniona. Życzyć by tylko wypadło, by ta polityka „odmłodzenia” była nadal prowadzona. Tu na żadne polewicze pociągnięcia nie ma co liczyć, a praktyka ostatnich tygodni wykazała, że klub ma swoją bezspornie utalentowaną młodzież, na którą liczyć może zawsze. Jest sprawa trenerów i kierownictwa sekcji, kogo z młodych zawodników i na jakiej pozycji jeszcze należy wprowadzić do drużyny. Tre-

CO w terenie?

15 września obchodziliśmy uroczyste inauguracje roku oświatowego 1963/64. Na terenie naszego województwa odbyło się z tej okazji ok. 150 imprez artystycznych, 162 odczyty i spotkania z literaturą. W Brzezinach, uroczystość inauguracji zbiegła się z wmurowaniem aktu erekcyjnego pod budowę Powiatowej Biblioteki Publicznej. Placówkę kulturalną powitały rozpoczęcie nowego sezonu w pełnej gotowości. Dokonano niezbędnych remontów, zaopatrzone świetlice i biblioteki w opał, uzupełniono brakujący sprzęt (np. 30 wiejskich czytelni otrzymało wyposażenie ze środków SFOS). Uzyskano m. in. nowe lokale dla 6 bibliotek gromadzkich, otwarto wiejskie domy kultury w Sokolowie pow. Łowicz oraz w Niwisku, Osieku i Ludwipowie pow. Wieruszów. Zjazdy i sejmiki działaczy kultury naszego województwa poświęcone analizie wyników XIII Plenum KC PZPR i opracowaniu planów rozwoju życia kulturalnego w nadchodzącym sezonie.

W podanej wyżej notce wspomnieliśmy o oddaniu do użytku Wiejskiego Domu Kultury w Sokolowie pow. Łowicz. Warto przy tej okazji dodać, że powstał on w czynie społecznym w ciągu trzech lat (!), a koszt jego budowy nie przekroczył 600 tys. zł. Przedsiębiorstwo RUCH uruchomiło w WDK kluboczytelnię, wyposażoną w nowoczesny sprzęt, a Wydz. Kultury Prez. WRN zakupił telewizor i 300 krzesel do sali teatralnej. Mieszkańcy Sokolowa do ostatnich chwil pracowali nad wykończeniem domu — nawet dzieci myły podłogi i okna. W dniu otwarcia WDK Biuro Wystaw Artystycznych z Łodzi uruchomiło tam ciekawą wystawę współczesnego malarstwa. Wiejski Dom Kultury jest „ociekaniem w głowie” sokolowian, którzy nie syci chwały, postanowili (również w czynie społecznym), polozyc drogę przez wieś i zaistniał światło uliczne.

JACEK WOJCIECHOWSKI

Jest okres szerokiego umasowienia kultury. Wystarczy rozejrzeć się nieco wokół, zerknąć na tak zwaną głęboką prowincję, posłuchać jakie problemy nurtują działaczy kulturalnych, aby obraz ekspansji kulturalnej uwidocznił się w całej pełni. Myślę, że pojęcie kultury masowej nie ma w naszym kraju zabarwienia ujemnego, przynajmniej nie powinno mieć. Kultura nie kieruje przeciwko względy komercyjale, nie musi się dostosowywać do niewybrednych smaczków, prymitywnych gustów, wręcz przeciwnie. Zasadnicze dążenie całej tytki kulturalnej polega na wytworzeniu właściwych zaimteresowań, intelektualnych potrzeb.

To nie było tak dawno, wychłki z gazet mówiące o likwidacji analfabetyzmu nie zdążyły jeszcze zółknąć. A przecież od składania liter do wartościowej lektury droga daleka. Stworzono przede wszystkim bazę dla rozwoju kultury. No przecież na palcach można policzyć domy bez radia, nawet w wioskach pozabawionych prądu radio jest zjawiskiem normalnym. Poprzez sieć bibliotek i punktów bibliotecznych każdy mieszkaniec kraju ma możliwość, praktycznie biorąc, kontaktu z książką. Oczywiście bywa i tak, że trzeba iść po nią kilka kilometrów, że wiele bibliotek pracuje w fatalnych warunkach, trudności nigdy nie brak. Wszystko to jednak nie zmienia faktu, dziś trudno znaleźć człowieka, który nigdy nie oglądał filmu. Spora sieć kin stałych, duża operatywność objazdowych, a ostatnio bujny rozwój telewizji sprawiają, że ten rodzaj kulturalnej rozrywki należy do najpopularniejszych. Kultura dociera do nas pod różnymi postaciami.

Istnieje więc baza, to bardzo ważne, działalności kulturalnej nie można umieszczać w próżni. A praca do wykonania jest bardzo duża, bo obecne zainteresowania kulturalne społeczeństwa skłaniają się bardziej ku owym niewybrednym smaczkom i guścikom, niż w stronę zjawisk istotnie wartościowych. Mówi się czasem, że to trudności typowe dla okresu startu. Rozmawiałem niedawno ze znajomym bibliotekarzem bugarskim. W jego kraju literatura popularno-naukowa obejmuje 25 proc. wszystkich

wypożyczeń w bibliotekach publicznych. Hm. 25 proc.! U nas literatura niebeletrystyczna stanowi 10 proc. wypożyczeń, w dodatku nie wszystkie, co nie jest beletrystyką, musi być od razu literaturą popularno-naukową. Bułgarzy zaczynali podobnie jak my, może nawet w trudniejszych warunkach. Więc jak to jest z tym okresem startu? Spóźniamy się jak Foik. A przecież gdyby komukolwiek powiedzieć, że poziom naszej kultury ustępuje bułgarskiemu, uznano by to za niesmaczny żart.

Rozważania o kulturze masowej

JAKA JESTEŚ, KULTURO?

Kulturalne zainteresowania społeczeństwa można najlepiej zaobserwować na przykładzie gustów czytelniczych. Pisano już wiele o tym, że największą admiracją cieszą się romansy, kryminały, w ogóle powieści rozrywkowe. Wszewładne panowanie Kra szewskiego, Rodziewiczówny, Christie, Dumasa jest na razie niezagrożone, ich powieści mają najwięcej zwolenników.

Wydaje mi się, że jeśli amator wartościowej lektury sięgnie czasem po książkę rozrywkową, tragedii nie będzie. Dla niego stanowi ona po prostu relaks umysłowy, podobnie jak rozwiązywanie krzyżówek czy brydż. Zło zaczyna się z chwilą ograniczenia lektury li tylko do Kra szewskiego i kryminałów, ale takie wypadki powtarzają się nagninnie. Z pewnością są kryminały, które trudno właściwie tak nazwać, bo wyszły daleko poza ramy swego gatunku, mają trwałą pozycję wśród najlepszych osiągnięć literackich. Chociażby „Zbrodnie i kara” czy powieści Grahaama Greena. Rzecz znamieną, że z wolennicy klasycznych kryminałów odskakują i do niechęć, nie trafiają im do przekonania.

Skąd bierze się to zamięliwanie do literatury lekkiej, pozbawionej większych ambicji intelektualnych, gdzie leżą przyczyny podwójnego nurtu czytelniczych zainteresowań? Chyba główną przyczyną jest tu nieumiejętność czytania, lektura ogranicza się tylko do śledzenia biegu akcji. Stąd też pochodzą nieskomplikowane źródła oceny, wartka akcja — dobra książka; brak jej — książka nudna. Dlatego amatorzy kryminałów odskakują „Zbrodnie i karę” z niechęcią.

— Panie, taka piła! Tylko gładzenie, a akcji ani za grosz. Ludzie zbierają się przy

gnostkach na zapowiedź kolejnego odcinka „Matysiaków”. „W Jezioranach”. A potem do redakcji wędrują pomidory, serwetki, sztuce, grabie, w ogóle wszystko, co można sobie wyobrazić. Znam wiele osób, które święcie wierzą, że to wszystko co słyszą, dzieje się naprawdę, a sprytnie ukryty mikrofon rejestruje po prostu fakty z życia. To nie jest ani odrobinkę śmieszne, nie jest też rozczulające. Bardzo smutne, że w drugiej połowie XX wieku żyją w cywilizowanym kraju ludzie, którzy nie potrafia zrozumieć pojęcia fikcji literackiej.

Mówi się na ogół, że to tylko wieś ma takie wsteczne ciagoty. Sniem wątpić. Proszę zwrócić uwagę w jakikolwiek sposób kina wielkomiej-skie nadrabiają niedobory finansowe. Sięgają po pierwszy lepszy western i komplet na sali zapewniony, nawet jeżeli film był już uprzednio wyświetlany. Rekordowe kolełki do kas tworzyły się zresztą nie na „Dylizans” czy „W samo południe”, lecz na „Siedmiu wspaniałych” i bardzo zsmirowate „Dwa oblicza zemsty”. Dla teatrów najpoważniejszy problem stanowi

nieumiejętność korzystania z ambitnych zdobyczy kultury. To nie jest lenistwo, niechęć, tych ludzi nikt nie nauczył jak czytać, jak oglądać trudny film, sztukę teatralną. Dlatego ich opórów nie przełamie nawet najbardziej atrakcyjna forma, oni przecież nie potrafią dotrzeć do sedna zagadnienia, nie wiedzą jak. Mówi się na przykład, że współczesna poezja nielatwo znajduje odbiorcę, tutaj są identyczne przyczyny. Człowiek który nie rozumie poetyckiej konwencji, nie potrafi zastosować się do kondensacji słowa, nie pojmuje metaforyki, patrzy na wiersz jak na zaszyfrowany tekst.

Nauczyć czytać powinna w zasadzie szkoła, ale jest faktem, że jak dotychczas nie przygotowuje swych absolwentów do poważnej lektury. Trudno tego dokonać w klasach podstawowych, skoro program ekspozuje Reja, Prusa czy Konopnicka. Przeskok z „Krótkiej rozprawy” na „Spisową bramę” jest bardzo ryzykowny. W szkole średniej, na literaturę współczesną, która wymaga zupełnie innego podejścia niż cały poprzedni dorobek literacki przeznaczono aż pół roku nauki. Oto dlaczego takie mamy czytelnice gusty, takie właśnie kulturalne zainteresowania.

Pokolenie 25-latków wyniosło ze szkoły jeszcze jeden nawyk — porównywanie wartości literatury z rzeczywistością, jako jedyne kryterium przy ocenie. Taką to rzekomą zdobycz socrealizmu wtlaczano nam do głowy dwa naście lat temu. Któż tam dziś pamięta książki „Traktory zdobędą wiosnę” czy „Numer 16 produkuje”, dawno już poszły w zapomnienie. Ale wtedy one były przykładem wartościowej literatury, wiernej wobec życia. W imię tej zasady czytano „Kłopoty pani Doroty” Borowskiego, ale nikt nawet nie wspominał, że ten sam autor napisał także „Pożegnanie z Marią”. Pewnie, potem wszystko się zmieniło, ale w iluz u-

mysłach do dziś przetrwały raz wpojone zasady oceny. W niektórych środowiskach bibliotekarskich panuje opinia, że literatura rozrywkowa może spełnić rolę wabika, że zdola zachęcić do czytania w ogóle, a potem takiemu adeptowi lektury podsunie się trudniejszą literaturę i sprawa załatwiona. Myślę, że trudno o bardziej błędny pogląd. Lektura poważna opiera się na zupełnie innych zasadach, niż rozrywkowa, wymaga wręcz innej techniki czytania. Literatura rozrywkowa nie stanowi przygotowania do lektury wartościowej na tej samej zasadzie, na jakiej oglądanie filmu nie przygotowuje widza teatrom.

Można się spodziewać, że zmiana szkolnego programu umożliwi przygotowanie przysięgłych absolwentów do wartościowej lektury. No dobrze, ale co zrobić z tymi, którzy do szkoły już nie wrócą? Pewna część sama zdola pokonać trudności, tak jak to było dotychczas, ale to znikoma część, pozostałym trzeba ułatwić korzystanie z wartościowych zjawisk kulturalnych. Na razie próbują robić to bibliotekarze poprzez różnorodne formy pracy z czytelnikami, jak wieczory literackie, zebrania dyskusyjne, spotkania autorskie czy zespoły wspólnego czytania. Istota jest tu pokazanie, jak należy czytać, jak podejść do trudnych pozycji, wręczcie do istotnie warto czytać. Nie chodzi tu o zresztą tylko o czytelniczo, współpraca z teatrem, radiem, telewizją nie jest rzadkością. Ale oczywiście sami bibliotekarze niewiele zmieniają, jest ich zbyt mało, mają ograniczone możliwości, no i zresztą sami też nie zawsze we wszystkim się orientują.

Trzeba podjąć na szeroką skalę naukę czytania trudnych książek, oglądania ambitnych filmów, sztuk teatralnych. Setki omówień, przykładów naprowadzą wręczcie odbiorców na właściwą drogę, potem już będzie łatwiej. Jeżeli mogą to zrobić biblioteki, mogą i inne placówki kulturalne, szczególnie możliwości mają tu radio i telewizja. Oczywiście to sprawa długotrwała, ale trzeba zacząć, ruszyć z miejsca. Dzisiaj, mówiąc o nie najlepszych zainteresowaniach kulturalnych społeczeństwa, możemy je jakoś wytłumaczyć, ale jeśli nie zmienią się przez następne dwadzieścia lat, trzeba będzie w nie wierzyć.

Miniatury • miniatury • miniatury • miniatury • miniatury

BERNARD SZTAJNERT

FOTEL

Zostałem dyrektorem. Siedzę w gabinecie na krześle — lokcie kładę na oszklonym biurku. W głębi gabinetu okrągły stolik, z dwoma krzesłami — tam będą przyjmował interesantów przynoszących sprawy wielkiej wagi. Jest jeszcze mała biblioteczka z tomami kodeksów — to wszystko, cały mój gabinet.

Kiedy stałem przy oknie i spoglądam na własne biurko, na krzesło, puste krzesło, przejmuję mnie raptowne poczucie braku — nieobecności czegoś koniecznego. Długo patrzę na puste, szczerbate krzesło — to szkielec bez ciała, czujnie skrecony, gotów do obrotów na gwintowanym walcu. Mogę usiąść, obracając się szybko jak światłowid obecny we wszystkich stronach. Interesanci biegają dookoła biurka, dookoła krzesła, dookoła mnie. Siadam powoli na krzesło, rece kładę na szkle i wtedy orzeźwiają chłodem, przypominam sobie o inspekcji. Wyruszam z gabinetu na obchód biura. Urzędników zastają spiętrzonych w pokojach. Jeden z nich mający przed sobą najciekawszy dokument, siedzi ze wzrokiem utkwionym w nagłówek. Nad siedzącym urzędnikiem stoi oparty kolega, większy od niego — jedna ręka kładzie na dokumencie, drugą wyrzuco-

na do góry trzymając ponad głową siedzącego. Za jego plecami dwaj urzędnicy, unosząc się na palcach, usiłują zobaczyć przez mgnienie choć skrawek dokumentu. Popychają ich od tyłu trzej inni, zamykający swymi splecionymi ciałami obwód ruchomej grupy. Całość przypomina główkę salaty; dokument jest serduszkim, urzędnik siedzący — listkiem otaczającym je bezpośrednio, pozostali...

Główka rozwija się gwałtownie. Odpadają karbowato wygięci, odchodzą szleszcząc. Stają przy serduszkach, czytają. Opuszczam pokój, a oni rósna z kątów, rozwijają się w stronę siedzącego urzędnika, formują na nowo — razem.

Na korytarzu, gdzie patrzac na długi szereg zamkniętych drzwi, zapalam i gaszę światło, spotykam starca w niebieskim fartuchu, w okularach. Trzyma w ręku młotek, patrzy na mnie długo tępym wzrokiem... Ozywia się raptownie, mówi rechocząc: „Dzień dobry, dzień dobry, panie dyrektorze — myśmny się jeszcze nie witali, dzień dobry”. Podaje mi rękę, nie oczekiwanie wielką, przytłacza mnie, zapycha ręką. Muszę użyć obu rak by ją jakoś uściśnąć. Wyczerpany powitaniem starca, odchodze do gabinetu i siadam na obrotowym krześle.

Odtąd muszę go witać, wiele razy dziennie, gdyż zawsze wyjdzie mi się, że widzi mnie po raz pierwszy w ciągu dnia. Zza ściany dochodzą mnie uderzenia młotka — tam pracuje mój starzec. Pracuje sam, w wielkiej sali konferencyjnej, puksiej w godzinach przedpołudniowych. Nie wiem, co robi — nie pytam go o to — myśm, że starzec ma uraz na moim punkcie... Może mnie się boi chociaż nie wygląda na lęklwego — klócił się z moim poprzednikiem, który chciał go zwolnić z pracy. Sam mi o tym opowiadał, stojąc przede mną na korytarzu, z młotkiem w ręku: „I wtedy dyrektor, przepraszam panie dyrektorze woła mnie i powiada, — orosze, to jest wymówienie, na trzy miesiące — moglibymy z krótszym terminem, bo pan jest fizyczny, ale niech już będzie. A ja im na to — jestem fizyczny, ale mnie nie zwolnicie. Wielu mnie już chciało zwolnić, nie z tego. Nie przyjmuję wymownienia. — Nie przyjmuję pan wymownienia? Wyśmemy poczta! — Wysłali, nie przyjąłem”.

Starzec odchodzi, wymachując młotkiem do sali konferencyjnej, stuka ze wzmozoną energią. Nie zarzałem jeszcze do tej sali. Konferencje urządzam w moim gabinecie. Stukanie młotka nie ustaje nigdy. Coraz częściej

myśm o „porczywey” pracy starca. Co on tam robi? Właściwie rozmawia tylko ze mną. Nigdy nie słysze jego głosu na korytarzu. Gdy otwieram drzwi gabinetu — widzę go naprzeciw siebie w otwartych równocześnie drzwiach sali konferencyjnej. Wychodzimy i wltamy się po środku korytarza. Kiedy siedzę w gabinecie, dzielę nas korytarz — dwie ściany — dwoje drzwi.

Obracam się na moim krześle. To krzesło pianisty, a nie dyrektora... Czy za moimi plecami jest coś, do czego musiałbym się nagle odwrócić twarzą? Ja mam wszystko przed sobą, wszystkim co ważne. Za moimi plecami jest tylko czysta gładka ściana i nic, nie więcej. Z boku, zza korytarza stuka młotek starca. Myśm, że to co on robi jest barwy zielennej! A może jest stare,

brudnoszare. Młotek stuka raz twardo, raz miękko. Za ściana formuje się muzyka uderzeń, kształt obstukiwanego przedmiotu jest jej partytura. Na koncercie w Filharmonii, muzyka też odstaje od jakiegos przedmiotu — koncert to zdejmowanie półwłki. Koncerty codzienne, kiedy chodzą w nas akordy własnych butów, grzyzie podnoszonej skóry mają własne niewielkie splaszczone przedmioty. Muzyka ręcznego zegarka wpłja się w przegub mojej ręki. Mam we krwi grę czasu, krew rozprowadza ją po całym organizmie. Chodzę krokiem czasu — jego prosta melodia.

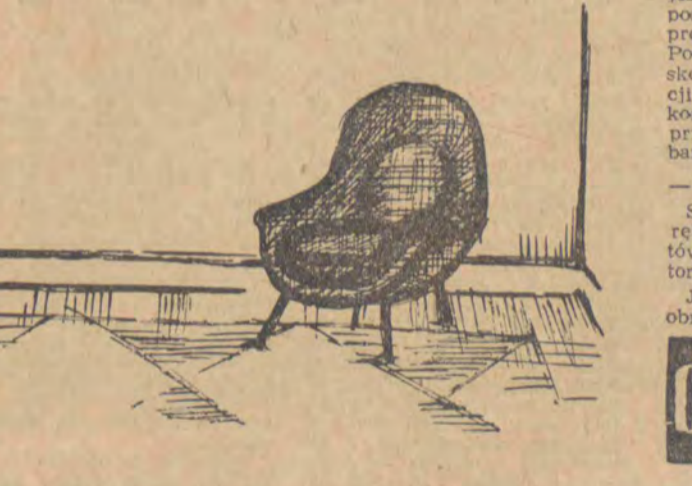
Starzec nigdy nie był w moim gabinecie — ja nigdy nie byłem w jego sali. Ja słysze uderzenia jego młotka. Więcej wiem o nim, niż on o mnie. Wita mnie na korytarzu i widzi moje zgar-

bione plecy, gdy wchodzę do gabinetu. Ale on wie, że ja nie daję mu wymownienia — a ja nie wiem, co on robi. Nie zamierzam tego osobliwie kontrolować, ani nawet dowiadywać się o tym. Dziełi nas kilkanaście stopni służbowych. Na pewno w moim dobrze zorganizowanym przedsiębiorstwie, człowiek ten jest właściwie zatrudniony. A jednak niepokoją mnie ostatnie uderzenia jego młotka. Przedmiot, z którego opada melodia, utracił gładką, konsekwentną powierzchnię. Zwielokrotnił się nieoczekiwanie, spietrzył, porósł drobnym, suchym zielestem. Co myśli starzec o wytwarzanych przedmiotach? Dzieło jego polega na ukryciu ich części na poskromieniu ich buntu na ułożeniu w rozumna całość.

Moje krzesło długo jeszcze może krecić się na gwincie. Będzie siedział w tym pokoju, formował skomplikowane kształty w gładką, twardą powierzchnię. Tam zza ściany, dobiegają mnie odgłosy przydowieści o mnie samym. Moja praca, aczkolwiek nie jest pracą fizyczną — przypomina strukturę mądre, proste czynności rzemieślnika. Pomyślałem, że ja formuję skomplikowany układ tendencji w całość tak prosta i konsekwentna jak materialny przedmiot, którego kształt i barwę zawczasu przewiduję.

Stary robotnik zatkał mnie ręką przy powitaniu: „Gotów już, gotów, panie dyrektorze!”

Jutro, wyrzucam z pokoju obrotowe krzesło...



EUGENIUSZ AJNENKIEL

Dalszy ciąg ze str. 2

zostanie Sejmowi, pracuje nad nim odpowiednia Komisja. Nad ustawą dotyczącą oświaty, Komisja Oświatowa, nad ustawą dotyczącą budżetu, Komisja Budżetowo-Finansowa itd. Członkowie komisji, specjalistów w danej dziedzinie, projekty ustawy dokładnie rozpatrują, biorąc pod uwagę konieczność jej wprowadzenia, dobro społeczne, konsekwencje jej oddziaływania itd. Komisja bada, czy podobnej treści ustawa była kiedyś w polskim ustawodawstwie, czy jest w ustawie innych narodów i jak jest sformułowana. Czasem praca w komisji nad ustawą trwa kilka miesięcy. Dla przykładu, nad projektem ustawy dotyczącej spółdzielczości komisja pracowała blisko dwa lata. Dopiero wtedy, gdy projekt zostanie odpowiednio opracowany, ustawa zostanie należycie sformułowana, jeden z członków komisji przedstawia ją Sejmowi. Ten ustawę zatwierdza, albo ją odrzuca. Poślowie obradują wprawdzie w zwykłych, cywilnych ubraniach, nawet marszałek Sejmu nie nosi peruki, ale każdorazowa sesja Sejmu otwiera i zamyka jak każde tradycyjne trzykrotne pukanie marszałkowskiej łaski.

„Poseł musi orientować się we wszystkich zagadnieniach dotyczących życia kraju, polityki zagranicznej... ale każdy z nas jest w jakiejś dziedzinie specjalistą. Ja z tytułu swojego wykształcenia ekonomiczno-prawnego, znam się na finansach i budżecie, z tytułu swoich zainteresowań i zamiłowań zajmuję się kulturą”.

Wychowanek Szkoły Królewsko-Polskiej Straży Skarbowej z roku 1918, jest humanista i to humanista w nieco starożytnym już dzisiejszym pojęciu. Badając zawilosci ekonomii Ajnenkiel ogłasza prace z dziedziny historii, przygotowuje Antologię Poezji Robotniczej, zajmuje się dziejami Łodzi.

Bardzo często — mówi — na rozmaitych zebraniach roz-

mawiam z ludźmi. Dobry poseł musi znać swój teren, musi orientować się w potrzebach mieszkańców. Ludzie zadają mi rozmaite pytania z różnych dziedzin naszego życia, muszę na nie wszystkie odpowiedzieć. Mam tych spotkań bardzo dużo i zawsze idę na nie z przyjemnością. Co tydzień, w poniedziałek, przyjmuję interesantów w Radzie Narodowej, zgłaszają się do mnie ludzie z różnymi sprawami, nie zawsze im mogę pomóc, ale zawsze ich wysłuchuję”.

Piękna biblioteka Ajnenkiela jest słynna w Łodzi. Poseł zbiera wszystko co dotyczy naszego miasta. Obok ksiązek łódzkich pisarzy i poetyckich antologii, dzieł prawniczych i ekonomicznych, znajdują się w niej materiały i druki dotyczące historii ruchu rewolucyjnego. W jego mieszkaniu obok całej galerii obrazów, zdjęć pięknej córki Zofii, sędziwego w Sądzie dla Nieletnich, mieści się prywatne i wcale bogate archiwum tyczące łódzkich spraw. Dla historyka materiał gotowy. I trzeba tylko popatrzyć jak pieczołowicie i starannie zebrany. Wielobicieli i bojowników o sprawy tego „niekochanego”, jak mówi, miasta jest poseł Ajnenkiel Prezesem Towarzystwa Przyjaciół Łodzi.

„Planujemy — mówi — szereg nowych akcji Towarzystwa. Chcemy wprowadzić specjalne stypendia dla pisarzy, których twórczość związana jest z Łodzią, myślimy o nagrodach dla dziennikarzy i twórców”.

Ajnenkiel mówi o sprawach Łodzi z miłością fanatyka, troską gospodarza, mądrością polityka. Świetny mówca i niezrównany gawędziarz jest niewyczerpanym źródłem anegdota i dykteryjek o dawnej Łodzi. Nie ma dla niego w tym mieście tajemnic, obdarzony świetną pamięcią pięknie opowiada i pięknie umie recytować. „Kiedy jestem zmęczony — mówi — a czasem mi się to zdarza, prowadzę życie bardzo czynne i bardzo ruchliwe — wtedy biorę sobie karton i rysuję piórkami”.

Arystarck

SPÓR O POWIEŚĆ

Rozmowy „na szczycie” odbywają się nie tylko w dziedzinie wielkiej międzynarodowej polityki. Również w świecie literackim mamy do odnotowania wśród wydawnictw kulturalnych ubiegłego lata dwie głośne konferencje, o znaczeniu ogólnoeuropejskim, jedną w Lahti (Finlandia), gdzie zabrał głos między innymi znakomity pisarz francuski, Claude Simon, autor „Drogi przez Flandrię”, a druga — w Moskwie, gdzie na jeździe zorganizowanym przez tak zwany Comes czyli Europejską Wspólnotę Pisarzy spotkali się tak wybitni twórcy, jak Sartre, Camille, Natalia Sarraute, Alain Robbe-Grillet, Pirene, Vigorelli, Erenburg, Fiedin, Leonow, Twardowski, Simonow, Jiri Hasek, Putrament, Matuszewski i wielu innych.

Sądząc ze sprawozdań prasowych zasadniczy spór sprowadzał się do kontrowersji między tak zwaną „powieścią zaangażowaną” a francuską „Nową powieścią” czyli inaczej i krótko mówiąc — Antypowieścią, której przedstawiciele w osobach Natalii Sarraute i Alain Robbe-

Grilleta wypowiadali znane skądinąd poglądy, że gwałtowny rozwój techniki i nieznanne dotąd tempo rozwoju społeczeństw stawiają przed pisarzami zadania, których nie jest on w stanie rozwiązać przy pomocy starych form powieściowych, jak również nie jest w możności porządkować mechanizmu i sił rządzących życiem ludzi we współczesnych społeczeństwach. Wynika stąd dla pisarza konieczność ograniczenia pola obserwacyjnego do przeżyć i spostrzeżeń dostępnym mu osobiście. Stąd również wywodzi się przewodnie o agonii współczesnej powieści, mającej być jakoby zastąpioną przez inny gatunek literacki.

Ze stanowiskiem tym polemizowali pisarze radzieccy widząc w nim pesymizm z powodu przejawów upadku wielkiej literatury humanistycznej na zachodzie Europy, ale nie na całym świecie.

Prawie niezauważone przez naszą prasę przeszło wystąpienie na jeździe czeskiego pisarza Jiri Haska, redaktora periodyku „Plamen” („Płomień”). Natomiast przemówienie to zostało skomentowane przez francuską opinię literacką w jednym z ostatnich numerów tygodnika „Les Lettres Françaises”.

Hasek przede wszystkim zauważa, że już od czterdziestu lat pisarze zadają sobie pytania, czy przeżyjemy kryzys powieści, która znajduje się jakoby u kresu swych możliwości rozwojowych jako przestarzały gatunek wypowiedzi artystycznej. Pomimo jednak upływu czterdziestu lat powieść ostrzeżona przez pesymistów wróżyących jej koniec nie przestała od-

grywać roli w literaturze światowej. Przeciwnie, w ciągu ostatniego czterdziestolecia stworzyła dzieła, które w sposób artystycznie złożony wyrażają naszą epokę. Jako dowód Hasek wymienia niezaprzeczone osiągnięcia Szolochowa, Manna, Hemingwaya, Rolanda, Gorkiego, Steinbecka, Aragona, Camusa, Morawii i Leonowa pomijając, niesłusznie, Faulknera, a z naszych pisarzy zapominając, również niesłusznie, o Dąbrowskiej, Iwaszkiewicz i Andrezejewskim.

Czym więc się tłumaczy przepowiednie pesymistów? Zdaniem Haska tym, że w ciągu ostatnich dziesięcioleci powieść różnicowała się do tego stopnia, że nie może być oceniana według kryteriów, które nie są adekwatne dla jej rozwoju. Ostatnie zdanie brzmi enigmatycznie i może oznaczać, że tymi kryteriami są degradacja fabuły, zmiany w rozumieniu czasu powieściowego itp. albo, że — wobec powstania nowych gatunków literackich na pograniczu eseju i powieści nie można stosować dawnych tradycyjnych ocen.

Hasek stoi jednak na stanowisku, że powieść nie może wyrzucić się z historii wyrażania całości epoki i krycia związków społecznych i przeciwnie przy odwracaniu losu ludzkiego i jeżeli chce spełnić swą misję humanistyczną, to powinna być nie tylko zwierciadłem życia, ale także odzwierciedlać wartości ludzkie, powinna nie tylko odpowiadać na pytanie, jaki jest obraz świata, lecz również — jaka jest wartość rzeczy i nowych zdobyczy dla człowieka współczesnego.

Można jednak zdaniem

Haska mówić o kryzysie powieści tam, gdzie do literatury przeniknął sceptycyzm filozoficzny, agnostycyzm, przeświadczenie o niemożliwości poznania rzeczywistości, brak wiary w sens ludzkiego życia. Trzeba bowiem pamiętać, że obiektywnym rezultatem sondowania rzeczywistości przez antypowieść jest zaprzeczenie sensu tej rzeczywistości. Nowa powieść nie rozwiązuje kryzysu powieści zachodniej, lecz sama jest ofiarą tego kryzysu.

Czy z formalnych zdobyczy antypowieści może skorzystać powieść tradycyjnie artystyczna lub realistyczna, tak jak ją rozumieli zwolennicy realizmu w ustroju socjalistycznym? Ciekawy pod tym względem jest pogląd Brechta, według którego nie istnieje żadna forma literacka czy artystyczna, którą by można nazwać burżuazyjną lub socjalistyczną, natomiast istnieje myśl socjalistyczna w utworach literackich. Ten punkt widzenia jest podzielany przez wielu teoretyków marksizmu. Wynika z tego, że pisarz nie może i nie powinien ignorować odkryć w

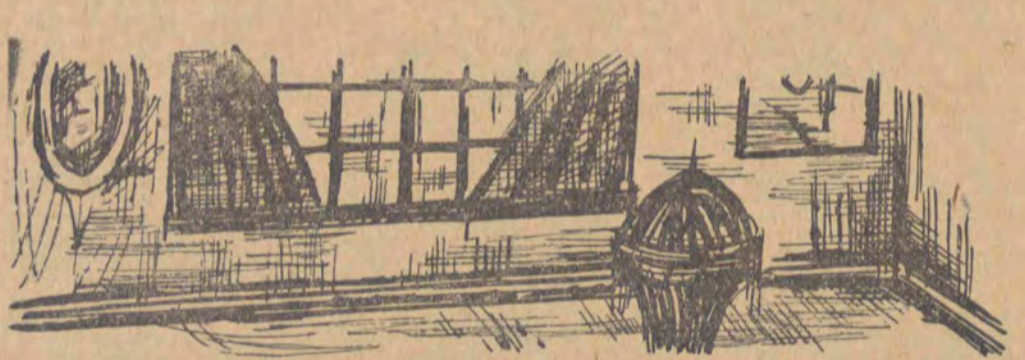


technice przy osiągniętej przez awangardę europejską.

Co do przyszłości powieści, to przekonywająco wydaje się opinia znakomitego pisarza francuskiego Aragona, autora „Wielkiego Tygodnia”, który tak sformułował swój pogląd: „Kto raz dostrzegł w powieści narzedzie badania społeczeństwa lub człowieka w warunkach historycznych danej epoki, ten zrozumie, że nie ma powodów, dla których powieść miałaby utracić swoją rację bytu”.



miniatury • miniatury • miniatury • miniatury • miniatury



FIRANKI

Adam odwiedził mnie niepoznanym. Przyszedł z miasta z moją matką, spotkali się na schodach. Usiadł przy stole i zapalił papierosa i popatrzył na mnie z uśmiechem. „To jest Adam Kowalski” — powiedziała matka. — Państwo mieszkali nad nami w domu, tam, gdzie

byłeś najmłodszy, gdzie się urodziłeś”.
To był Adam — Adam z góry, nie mogłem go poznać, Adam siedział uśmiechnięty i ciągle niepoznanym. Widziałem jego opaloną, podłużną twarz — uśmiech buraczkowych warg. Przypomniałem sobie brak twarzy Adama, w moim dzieciństwie nigdy go nie widziałem — za to słyszałem codziennie. Około południa, gdy mieszkanie nasyczone było światłem, a wszystkie zjawy nocy żałośnie skarlały kryły się pod walkami tapczana, wysmiewane i zapomniane w oczach — Adam z góry pukał do naszych

drzwi: „Mamusia prosi panią o szklankę soli, o sznur do bielizny, jedną pietruszkę, pięćdziesiąt groszy, jedno suchy polano na rozpalce”. Adam każdego dnia prosił o jedną z tych rzeczy, ja jednak dobrze wiedziałem, że chodzi mu o wszystkie. Wziął by także chętnie kostkę mydła, szczytkę do zamiatania, weszłyby do pokoju i nacyloni nad moją szufladą, zabrałyby ołowianych żołnierzy i fiński nóż. Drzwi zagradzały mu drogę — był tylko głosem — pożądanym, chciwym głosem.
Powracał do siebie i przycajony długo czekał na za-

padnięcie zmrózki. Z nastaniem ciemności sufit nad naszymi głowami trząsł się od uderzeń rozpedzonych nóg: „Znowu ci Kowalscy wrócili, biegają po mieszkaniu, halasują”. Kowalscy biegali godzinę, dwie — wstrzymywały ich na chwilę uderzenia szczytki w sufit. Potem ruszali znowu lawą. Adam, Adam, był niewidzialnym namieniem zgiełku rozpiętym nad moją gorącą głową.
„Porozmawiaj z panem” — powiedziała matka wychodząc do kuchni „pan był w czasie wojny lotnikiem”.
— Gdzie pan latał panie Adamie?
— W Anglii, na bombowcu, byłem strzelcem ogonowym.
Adam milczał, aż powróciła moja matka, z herbata. Wypił drobnymi, szybkimi ruchami. „Lotnik, strzelec ogonowy” myślałem. Widziałem twarz Adama, gdy podnosił szklankę w polyskliwej masce ze szkła. Adam postawił na stole pustą szklankę. Przesłał jej uśmiechać. Bębnił palcami po stole. „Proszę, niech mi pani powie czy pani naprawdę może zresztą chłopców — czy państwo naprawdę nie wiecie?”
Nie wiem o co panu chodzi, panie Adamie. Nie szczególnie o was nie wiedziałam, ani nie wiem.
— Naprawdę?
— Ależ naprawdę, naprawdę.
— Bo myśmy wie pani, przed wojną cały czas firanki robili. Najwięcej wieczorami, ale zresztą przez cały dzień. Trzeba było trochę się kryć. — bo podatki. A państwo nie nie wiedzieli — chociaż tak blisko. Tak... Nikt nie wiedział. Robiliśmy firanki — cała rodzina!
Adam pożegnał nas i odszedł. Biegł szybko po schodach. Stałem przy uchylonych drzwiach, daremnie starałem się usłyszeć choć jeden znajomy odgłos, stuknięcie, cząstkę szmeru.

WIELKI PIES

Złożyłem do papierowej teczeki akta, zawiązałem tasemkę w kokardkę. Byłem przygotowany do rozmowy z dyrektorem. Pierwszy raz miałem z nim rozmawiać bezpośrednio. Dotychczas widziałem tylko jego adnotacje na pismach... „To pies, mówiono. „W służbie wielki pies! Cóż by począł, gdybym wtargnął do jego gabinetu omijając sekretarkę i brutalnie siedząc w fotelu, zapytał jak dyrektor znosi ostatni spadek temperatury? Pytałbym go o parasol rozpięty w kacie gabinetu — czy ten parasol nie przepuszcza deszczu? Co panu się śniło, panie dyrektorze? Czy notule pan swoje sny po przebudzeniu? Dyrektor odkładając wieczne pióro wymówiłby z szuflady bułkę z wędliną i zjadł ją ścigając zrzęcając wargami długie skórki...
To wszystko, nigdy nie nastąpiło. Nie wierze w sny dyrektora, ani w jego szczególny parasol, ani w apetyt.

Wszedłem do gabinetu dyrektora i usiadłem w fotelu. Rozwiązywałem teczkę mówiąc: „Mam już skompletowane wszystkie papiery. Jeżeli pan dyrektor pozwoli, zreferuję sprawę. Mam własny punkt widzenia, który pozwolę sobie przedstawić. Oczywiście akta mówią same za siebie, uważam jednak, że moje naświetlenie może być pomocne...”
Pochylny czulem na głowie przyspieszony oddech dyrektora. Milczał. Mówiłem dalej. Pozwoliłem sobie na dygresję w sprawie moich por-



str. 10 **odgłosy**

Tak więc mieliśmy okazję obejrzeć w późny, sobotni wieczór debiut nowego magazynu rozrywkowego i jednocześnie oficjalne otwarcie sezonu telewizyjnego w naszym Łódzkim Ośrodku Telewizyjnym. Debiut wypadł pomyślnie, więcej niż pomyślnie: interesująco i ambientnie. Wspominając ostatnie numery już

snobizmu i taniego efekciarstwa, za co — jednak moim zdaniem, winy nie ponosił zespół „Muzyki”. Pisałem już o tym, nie warto wracać do starego, tym bardziej, że tego starego już teraz nie ma. Nowe „Rymy, rytmy i nastroje” zapowiadają dobrą, wartościową rozrywkę. Truizmem jest, że i najłżejsza Muza te-

Dobry jest również pomysł wprowadzenia niejako publicznego plebiscytu pod hasłem, która z piosenek podobala się najlepiej? Taki plebiscyt zacieśni — jak dotąd raczej luźny i sporadyczny — kontakt telewizji jako instytucji z jej odbiorcami, będzie też on sprawdzianem naszych „powszechnych” gustów, a równocześnie wskazówką dla kompozytorów piosenek, w jaki sposób i które z tych powszechnych gustów należy podtrzymywać i zaspokajać.

Pierwsze „Rymy, rytmy i nastroje” miały doskonale dobrany zespół wykonawców, z dawno nieogładaną a przecież zawsze cenioną Sławą Przybylską, świątynią Lidia Korsakówną, imponującą Marią Koterbską (choć z telekordingu), zróżnicowany zestaw piosenek, od piosenki lirycznej, poprzez satyryczną, do piosenki aktorskiej, przede wszystkim zaś miały kulturalnego gospodarza programu — Bohdana Łazuka. Okazało się,

Rymy, rytmy

ani takiej znowu przyjemnej, ani takiej lekkiej „Muzyki”, prowadzonej przez Lucjana Kydryńskiego z tym większą przyjemnością obserwowalem nowy program — „Rymy, rytmy i nastroje”. Zasadnicza obsada realizatorów pozostała właściwie bez zmian: reżyserem jest nadal Janusz Rzeszewski, twórcą wielu różnych programów rozrywkowych, z których ostatni: „Polskie nagrania”, nie należał do najszybszych, w czym chyba niewielka była wina reżysera, bo przecież on nadawał jedynie kształt zatwierdzonemu do produkcji telewizyjnej scenariuszowi. Scenografię „Rymów i rytów” projektował Jerzy Mastowski, natomiast kierownictwo muzyczne objął nad tą audycją znany kompozytor piosenek — Marek Sart.

Umaria nam w ten sposób „Muzyka łatwa, lekka i przyjemna”. Ganiłem ją często i nie tylko ja jeden. Należy jednak oddać „Muzyce”, co się jej słusnie należy: przynajmniej w pierwszym swoim okresie zrobiła wiele dobrego, spopularyzowała wiele dobrych i wartościowych artystycznie polskich piosenek, wyłansowała na trwałe kilka nazwisk wykonawców — ot, chociażby dopomogła utrwalić się sławie Ireny Santor, wielką sympatią widzów zaczęła się cieszyć spopularyzowana przez „Muzykę” uroczą Krystyna Sienkiewicz; „Muzyka” też pomogła wystawić utalentowaną Bożenę Grabowską. Inna rzecz, że zawsze dużo było w „Muzyce” łatwej, lekkiej i przyjemnej

lewizji posiada swoją określona funkcję społeczną, i to wcale niebagatelną — w wielkim przeciwieństwie kształtuje gusty i smak odbiorców. O tym jednak truizmie zapomnieliśmy z czasem „Muzyka łatwa, lekka i przyjemna” — mam nadzieję, że tego błędu

i nastroje

nie powtórzy już po jej doświadczeniach nowy program: „Rymy, rytmy i nastroje”.

„Rymy, rytmy i nastroje” zakładają popularyzowanie włącznie polskiej piosenki. Bardziej pożyteczny cel, wszyscy dobrze wiemy, jak to naprawdę jest z tą polską piosenką — wykazał ostatecznie festiwal sopocki, że... „namy polską piosenkę francuską, polską piosenkę amerykańską, polską piosenkę włoską...” jak napisał złośliwie chociaż nie bez racji jeden z recenzentów festiwalu sopockiego.

Programowe założenia nowej audycji rozrywkowej, której twórcą jest Łódzki Ośrodek Telewizyjny, są jak najbardziej słusze i godne aprobaty. Wiele dobrego może zrobić taki comiesięczny przegląd najnowszych polskich piosenek. Będziemy przynajmniej wiedzieli, co posiadamy...

pomimo sceptycznych sądów, że Lucjan Kydryński jest do zastąpienia, że jego patent na prowadzenie programu rozrywkowego z piosenką w roli głównej jest miłym. Bohdan Łazuka prowadził „Rymy i rytmy” z werwą, z wdziękiem, dowcipnie i inteligentnie. Jak wiele zależy od gospodarza programu, przekonaliśmy się właśnie podczas pierwszego pokazu „Rymów”.

I chociaż nie wiem, jaka jest ostateczna koncepcja „gospodarza” „Rymów i rytów”, opowiadał się zdecydowanie za Bohdanem Łazuka, przypominając — może zresztą niepotrzebnie — smutną historię naszego „Klapsa”, gdzie gwoli uatrakcyjnienia programu gospodarze zmieniali się w każdej audycji, co tej tradycji wcale na zdrowie nie wyszło.

KOWALSKI

REFLEKSJE

u

PROGU SEZONU

Jesteśmy świadkami mnożących się dyskusji i polemik, związanych z problemami dojrzwania dziecięcia najmłodszej z Muz — Teatru Telewizyjnego:

Paroletni beniaminek doskonały już rzeczy niebagatelnej. — Wyjednał sobie mianowicie prawo do własnego imienia. Dziś już chyba nikt nie próbuje kwestionować faktu, że mamy w Polsce Teatr Telewizyjny. Słowo więc stało się ciałem i to wcale nie mdłym. Dyskusje i ich temperatura są tego mocnym potwierdzeniem. Od początku też zaczęły się problemy: a to niepokój, że teatr stanowi konkurencję teatru i filmu (nieuczciwą — bo z „odniesieniem do domu”), a to, próby sprowadzenia roli sceny telewizyjnej do funkcji biernego przekaziciela spektaklu teatralnego, itd., itd.

Nie rodzi się bez walki. Teatr Telewizyjny zdołał jednak wyjść cało z zamachów na życie i zdrowie. Udowodnił przede wszystkim, że nie jest ani konkurentem, ani pośrednikiem swojego starszego rodzeństwa. Ze jest po

prostu pełnowartościowym ich współpartnerem.

Mamy więc zatem Teatr Telewizyjny i nieodłączny niernik jego formalnych wartości — „telewizyjność”, przykładaną do niemal wszystkich elementów tej nowej sztuki. Bo dysponuje ona specyficznymi warunkami, rządzi się swoimi własnymi prawami, każe szukać nowych, odrębnych środków wyrazu. Teatr oglądany w domu, adresowany bardzo wyraźnie do pojedynczego widza, teatr bez publicz-

ginalne dzieło. Tylko od inwencji i zdolności twórcy widowiska zależy znalezienie właściwego klucza inscenizacyjnego. Wyważenie proporcji między tekstem a jego kształtem realizowanym. Każdy więc utwór dramatyczny, każda nawet adaptacja literatury współczesnej czy klasycznej (choć w dalszym ciągu utrzymuję, że adaptacja jest środkiem mocno zastępczym), — ma szansę „telewizyjności”, o ile jej inscenizator będzie w pełni świadomy środków,

którymi dysponuje scena telewizyjna. Dlatego jesteśmy często jeszcze świadkami smutnych konsekwencji lekomyślnego wyboru. Mogliśmy się jednak również przekonać, o możliwościach całkiem nowego odczytania wielu pozycji repertuaru klasycznego, posiadających utarte i, zdawać by się mogło, jedyną konwencję inscenizacyjną. Mam tu na myśli chociażby tak dyskutowane „Wesele” w reżyserii A. Hamszkiewicza, które jednak niewątpliwie stało się pasywnym wydarzeniem w poszukiwaniach inscenizatorów telewizyjnych.

Jaką rolę ma pełnić? Jaką funkcję służebną wyznacza mu społeczeństwo?

Podobnie, jak film i teatr, jest on nierozdzielnie związany z literaturą. Podobnie jak one — przetwarza ją na bardziej lub mniej ory-



Przetwarzanie dramatów scenicznych, upowszechnianie zawsze aktualnych wartości literatury pięknej, kształtowanie smaku i poziomu kulturalnego odbiorców — to jedna z funkcji społecznych tego największego z teatrów. Mimo że nakłada się nań niewdzięczne zadanie popularyzatora — do dziś nie bardzo wiem, czy „Szelmostwa Skapena” są najlepszą popularyzacją twórczości Mollera, „Spadek” — Maupassanta, itp.) — teatr telewizji broni również prawa do własnej drogi, do własnych poszukiwań twórczych. Charakter teatralnej twórczości telewizyjnej, gatunek, jaki ona reprezentuje, wydaje się w pierwszym rzędzie predisponować ją do podejmowania problematyki aktualnej, współczesnej, do sięgnięcia po nowoczesną dramaturgię, do stworzenia własnej literatury telewizyjnych scenariuszy. I tu wciąż jeszcze sytuacja przedstawia się co najmniej niepokojąco. Wolania o polski dramat telewizyjny wciąż jeszcze odbijają się głuchym echem. Liczba autorów piszących dla telewizji jest wciąż jeszcze kropla w morzu potrzeb.

Dużym pocieszeniem są ambitne premiery Studia 63, które wydaje się być owym „kościółem wojującym” teatru telewizyjnego. Nadzieję budzą też wszelkie konkursy na widowiska telewizyjne, które pozwalają na możliwość wymienienia choć paru nazwisk pionierów literatury telewizyjnej, a więc Barbary Wittek-Swinarskiej, T. Karpowicza, M. Promińskiego, A. Wydrzyńskiego czy S. Mrożka. Są to jednak jaskółki nie czyniące wciąż tak oczekiwanej wiosny.

Pozostałe nam tedy czekać z ufnością i cierpliwością na dalsze efekty trudnych zmagania o dojrzałe oblicze Teatru Telewizyjnego.

HALINA KIJOWSKA

odgłosy str. 11



Detroit (USA). Telewizja nadaje transmisję z meczu amerykańskiej piłki nożnej. Jedną z kamer pokazuje przez moment rozhisteryzowaną publiczność. Kamerzysta zauważył coś ciekawego. Powtarza jeszcze raz to samo ujęcie publiczności, tym razem znacznie dłużej. Teraz na ekranie wszystkich telewizorów w Detroit widać wyraźnie jak wśród fanatycznie wrzeszczących kibiców spokojnie spaceruje... kieszonkowiec. Policja natychmiast odnajduje przestępcę, który po aresztowaniu przysięgał, że już nigdy nie będzie „pracował” na imprezach obsługiwanych przez telewizję.

Ten sam ośrodek telewizyjny pokazał inne widowisko baletowe pt. „Dyub”. Muzykę skomponował znany również u nas kompozytor i dyrygent Leonard Bernstein (dyrygował w Polsce jedną z najlepszych orkiestr świata: New York Philharmonic). Choreografią zajął się Jerome Robbins, który także występował już w naszym kraju. Libretto opracował wg swojej sztuki scenicznej Paddy Chayefsky, autor „Marty’ego” i „Wieczoru kawalerskiego”. Jak z tego widać telewizja USA dba o jak najlepszy balet na małym ekranie.

Zadziwiająca karierę robi w Nowym Jorku śpiewaczka Anna Moffo. Odniosła ona ogromny sukces w operze Verdiego „Traviata”. Występuje również w popularnej audycji telewizyjnej „Perry Como Show”. Na zdjęciach Anna Moffo jako Traviata i tańcząca tawistę w gronie kolegów.

T. W.



NAGRODZENI

Powiedział ktoś kiedyś, że w Polsce mamy 100 000 próbujących pisać wiersze. Jeśli w tym nieco ironicznym stwierdzeniu jest nawet sporo przesady, to faktem jest także, że wielu z owej rzeszy ujawnia autentyczny talent pisarski. Najlepszą tego okazją są różnego rodzaju konkursy literackie.

Taki właśnie konkurs literacki z okazji XX-lecia PRL zorganizowała Wojewódzka Rada Narodowa wspólnie z Zarządzeniem Wojewódzkim Zw. Młodzieży Wiejskiej. Konkurs miał charakter ogólnopolski i obelany został przez debiutantów całego kraju.

Niemniej jednak możemy się pochwalić, że wśród nagrodzonych znalazło się sporo piszących z terenu naszego województwa. Tak więc trzecią nagrodę w dziedzinie prozy otrzymał Stanisław Kuźniak — przewodniczący Zarządu Powiatowego ZMW ze Skiemieńca za nowelę pt. „Zwykły człowiek”.

Grupa nagrodzonych poetów to już prawie sami przedstawiciele Ziemi Łódzkiej. I tak pierwszą nagrodę za cykl wierszy pt. „Jestem człowiekiem” otrzymał bibliotekarz z Tomaszowa Maz. — Adam Marcin Puto. Drugą nagrodę za wiersz pt. „Powrót na wieś” otrzymał nauczyciel z Czercowa (pow. Łask) Kazimierz Świegocki, a trzecią nagrodę za wiersz pt. „Wielki mur” otrzymał Roman Gorzelski — nauczyciel z Łodzi.

odgłosy TYGODNIA

NOWA INICJATYWA PKO

Wojewódzki Oddział PKO w Łodzi jest instytucją, o której od dawna wiadomo, że nie narzeka na brak ciekawych, nowych pomysłów reklamowych. Niedawno na przykład zorganizowano rajd samochodów wygranych przez posiadaczy książeczek samochodowych PKO. Do Spały wyruszyło ponad pół setki „warszaw”, „fiatów”, „oktawii” i była to, rzecz można, zmechanizowana reklama korzyści tego rodzaju oszczędzania.

Ostatnio natomiast Oddział Wojewódzki PKO sprowadził do Łodzi ciekawą wystawę plakatu o tematyce oszczędnościowej. Wystawa jest międzynarodowa — reprezentowane jest 18 państw, na tle których 29 polskich plakatów wypadło bardzo, ale to bardzo interesująco. Nawiasem mówiąc, wśród polskich plakatów znaleźliśmy trzy prace łódzkiego grafika Jerzego Urbanowicza. Jedną z nich ze sloganem „Pomyśl nim wydasz” śmiało zaliczyć można do czołowych osiągnięć tego rodzaju grafiki. Wśród 150 prac z Australii i Francji, Iranu i Bułgarii, Czechosłowacji i Finlandii na czoło wysuwa się kilkanaście

plakatów ze Związku Radzieckiego — bardzo interesujących plastycznie, barwnych i komunikatywnych, o specyficznej koncepcji plastycznej.

A poza tym rzecz ciekawa: podobne hasła i symbole, klucze, skarbniki — świnki znajdujemy również na plakatach francuskich, polskich i niemieckich. Nie świadczy to bynajmniej o zrutynizowaniu „oszczędnościowej” reklamy, świadczy natomiast, że przemawia ona we wszystkich krajach tym samym prostym językiem do takiego samego średnio zamożnego adresata.

Ciekawą kolorową wystawę radzimy obejrzeć. Mieści się ona w hallu Teatru Rozmaitości w MDK przy ul. Moniuszki. Jeśli nawet oszołomiony reklamą widz nie pobiegnie zaraz na Kościuszki 12, aby złożyć książeczkę oszczędnościową, pewien cel i tak zostanie osiągnięty — obejrzy bowiem sporo interesującej grafiki. I choćby tylko dlatego z nową inicjatywą łódzkiego PKO warto zawrzeć znajomość.

J. W.

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW

Trzydzieści lat temu (kroi się tedy piękny jubileusz) zagrała Jadwiga Andrzejewska główną rolę w „Dziewczętach w mundurkach”... Odniosła piękny sukces i odłąd pozostały sobie wierne publiczność „Jadzi” (jako że Jadzia była naten czas młodzieńką panienczką) a Jadzia — sztuce.

Trudno zresztą sztuce nie być wiernym, skoro wybrało się na miejsce urodzenia właśnie teatr — Teatr Miejski na Cegielnianej, obecnie Teatr im. Jaracza... Na scenie pracowała wtedy Jadwiga Andrzejewska całe swoje życie — „chrzest bojowy” przeszła mając lat dziesięć w sztuce Maeterlincka „Błękitny ptak”, potem były — wspomniane wyżej — „Dziewczęta w mundurkach” potem filmy i role tak liczne, że trudno by je wliczyć.

Przypomnijmy więc tylko — z powojennego okresu — tytułową rolę w „Obronie Ksantypy”, doskonałą rolę z graney obecnie komedii „Oj kobiety, kobiety”, liczne, bardzo liczne pozycje estradowe ze słynną „Kwiaciarką z Picadilly” na czele.

Jadwiga Andrzejewska ma bowiem rzadko spotykaną skalę talentu: równie dobrze czuje się w dramacie, w komedii i na estradzie.

Tekst i zdjęcie

GERARD PUCIATO



JADWIGA ANDRZEJEWSKA

ZA CO PŁACIMY?

Jest rzeczą od dawna ustaloną, że przed każdą większą imprezą organizowaną w naszym mieście odbywa się przedsprzedaż biletów. Wygodna to rzecz zarówno dla organizatorów jak i widzów. Pierwsi mogą się zorientować czy impreza „chwyciła” i w razie negatywnej odpowiedzi wzmóc akcję reklamową, drudzy zamienić wystawę w ostatniej chwili w kolekcję i kupować co popadnie — spokojnie, za minimalną opłatą (1 zł lub 50 gr.) wybrać bilety na miejsca, jakie im się podobają. Ostatnimi jednak czasy dają się zauważyć dość oryginalne posunięcia organizatorów. Mianowicie do przedsprzedaży udostępniają oni coraz to gorsze miejsca na widowni, najlepsze zaś, jako rodziny, trzymają do ostatniej chwili. Warto by się zastanowić, jaki jest sens owej przedsprzedaży, skoro klient wędrować musi od jednego punktu do drugiego po to tylko by dowiedzieć się, że upragnionego sektora czy też rzędu w ogóle w przedsprzedaży nie było. Za co więc przepłaca ową złotówkę?

CYK

Bezpłatny dodatek „Odgłosów tygodnia”

O TRUNKACH

Kiedys w Irlandii ugaszono pożar z braku wody — piwem. Jako rzecz charakterystyczną warto dodać, że zauważono, iż jeden strażak wkłada głowę do naczynia z piwem. Gdy go spytano, dlaczego to czyni, odpowiedział, że wpadła mu iskra do oka.

„Punch” Londyn.

Upić się winem jest niebezpiecznie, człowiek robi przez kilka godzin głupstwa i w końcu robi z siebie porządna małpę. Ale (twierdzą pijacy) upić się kobietą jest jeszcze niebezpieczniej. Człowiek zrobi w chwili słabości głupstwa, a potem tego „głupstwa” już się nie pozbe dzie do końca życia.

Ale czy ma rację pijak?

Wg. „Prisma” Lucerna.

PRZYSŁOWIA O PIJAŃSTWIE

Lajać tego, kto wypija butelkę, a za mąż wyjść za tego, kto wypija dwie.

(wietnamskie)
Żegnaj, rozumie! Jutro się zobaczymy! — mówi ten, kto zasiadł by wódki pić.

(ukraińskie)
Wybrał i przełożył: FR. SWARZYCA

„DOMUS”

Wielki Dom Sprzedaży Mebli, który projektuje się w Łodzi będzie jak wieść niesie placówką z wszelkimi szykanami: 3 kondygnacje, kolorowa elewacja, własna komunikacja mikrobusem z magazynami na ul. Brukowej — słowem Europa. Dom nazywał się będzie... „DOMUS”. Podobno łodzianie nadesłali aż 400 propozycji nazw dla nowej placówki. Komisja wybrała ów słowiańsko-laciński „Domus”. Nie jest to chyba najlepszy wybór, ale ważniejsze, żeby w „Domusie” (br... okropnie to brzmi) były zawsze ładne i tanie meble, to i niezbyt fortunna nazwa łodzianie szybko wybaczą.

POEZJA SZYLDÓW

Do niedawna przechodzących ul. Próchnika Łódzian serdecznie bawił szyld „Drobna sprzedaż drobiu”. Szkoda, że właściciel nie nazywa się Drobny — mówili i odchodzili z weselszym już sercem. Niestety, szyld ten został zmieniony, co wcale nie znaczy, że na ulicach zapłonął smutek. Przeciwnie, spójrzcie tylko. Na ulicy Obróńców Stalingradu szyld „Wyrób szczerok i p e n d z i j” otwiera nowe nieograniczone możliwości ortograficzne. Wychodząc z Hali Sportowej publiczność wita spory napis „Spuść wodę”. Po trzygodzinnej imprezie przypomnienie to jest raczej zbędne. W wielu punktach naszego miasta znaleźć można tabliczki zabraniające wjazdu „z wyjątkiem pojazdów w celach gospodarczych”. Wynika z tego że mamy pojazdy w celach gospodarczych, towarzyskich, rozrywkowych bez celu itp. Ale na tym nie koniec. Na ulicach Łodzi widnieje wiele szyldów bawiących i śmieszających, co może sugerować, że mieszkańcy naszego miasta należą do najweselszych ludzi w kraju.

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem: na „Odgłosy”. Druk: RSW „Prasa”, Łódź, Zwłoki 17. Zam. 3073 X. 63. K-4



do druku podał: 05.01.1974

A. KRZEWIŃSKI

CZYTELNICTWO W ŁODZI

A czytelnictwo zapraszają? Odpowiedź — krótka. Czytelnictwo niestety idzie wstecz. Statystyka wykazuje, że ilość czytelników prawie we wszystkich wypożyczalniach jest ta sama, co pięć lat temu, że ilość czytelników zarówno zawodowych jak i kulturalno-światowych bynajmniej się nie zwiększa lecz przeciwnie.

Czyż nie wstyd przypomnieć, że miasto, liczące przeszło pół miliona mieszkańców, nie posiada publicznej biblioteki, że ludzie nauki i chętni szerszej wiedzy, nie mogą w Łodzi absolutnie pracować, gdyż we wszystkich kierunkach okazuje się brak odpowiedniego materiału.

Czytelnicy łódzcy są mało wybredni i wymagający. Nie interesują się bibliografią, ruchem umysłowym, ani literaturą piękną. Były tylko coś sensacyjnego, lub pieprzonego, co działa silnie na strącone nerwy. Gdy zapyta takiego pana, jakiego autora życzy sobie, odpowie bez namysłu: — Wszystko mi jedno, byle coś „pikantnego”.

Niektóre panie twierdzą, że gdy nie ma na razie w czytelnicy „Tędrówatej” Heleny Mniskówny, „to ja już nie mam nic do czytania”. Poza tym nadobne czytelniczki nie lubią czytać z zasady „nowelek”, bo choćby nowelka była najpiękniejsza, to „proszę pana ledwie się zaczęła, już się kończy”. O autorzy! czemu tak prędko kończycie swe dzieła?

„Życie Łódzkie” dodatek do „Gazety Łódzkiej” 1914 rok pod kierunkiem literackim Andrzeja Nullusa.

SUKMANA

(TRZY KRAKOWIANKI MÓWIĄ)

PIERWSZA: Dla kogo szyjęcie sukmanę?
DRUGA: Szyjemy dla pana Kościuszki.
TRZECIA: I będzie gotowa nad ranem na miarę pana na miarę pana Kościuszki.
PIERWSZA: A skąd pan Kościuszkę przybywa?
DRUGA: Z Ameryki. Zza oceanu.
PIERWSZA: Czy tam się nauczyli okrywać zwyczajną zwyczajną chłopską sukmaną?
DRUGA: Za morzem okrywał się burką.
TRZECIA: I gwiazdę na piersi mu dano.
DRUGA: A jutro w mieście Krakowie okryje się chłopską sukmaną.
PIERWSZA: A co w tej Ameryce robili, że gwiazdę na piersi mu dano?
TRZECIA: I że w Republice Francuskiej Polaka jak brata wiano?
DRUGA: W Ameryce, za oceanem twierdzą budował, wojował.
TRZECIA: A nam kazal uszyć sukmanę i będzie nad ranem gotowa.
DRUGA: Na ziemi obcej wojował o wolność powszechną stroskany.
TRZECIA: I gwiazdę rycerskiej zastugi przypnie do chłopskiej sukmany.
PIERWSZA: I na cóż mu chłopska sukmana, gdy mundur ma jenerski? Jak będzie po świecie w niej chodził, gdy w wolnym się stanie urodził?
TRZECIA: Wyjeździe w chłopskiej sukmanie na białym koniu, o świecie, na rynku krakowskim stanie...
DRUGA: A wtedy głos usłyszycie.
TRZECIA: I słowo przysięgi wypowie...
DRUGA: I wolność ogłosi stanom...
TRZECIA: Na wielkim rynku w Krakowie, okryty chłopską sukmaną.
DRUGA: Bo chłop, co zbiegł z pańszczyzny i broni lub kosy dobedzie dla ratowania Ojczyzny, ten wolnym Polakiem będzie.
TRZECIA: Wejście na Wieżę Mariacką, ogłoście to wszystkim i wszędzie... Kto: brzo za Ojczyznę podniesie, ten wolnym Polakiem będzie.

w Sielcach nad Oką, dziś już niemal legendarnych.

Jerzy Walden napisał także obszerną książkę, utkaną ze wspomnień i anegdot, która ukazuje się nakładem Wydawnictwa MON, spleta wymownym tytułem: „Teatr potrzebny”.

My, którzy bywaliśmy widzami tamtego Teatru, szczególnie żywo odczuwamy traźność tytułu — stwierdzenia.

A może daliśmy się na jakiejś scenie w jakiejś sensownie wybranej formie ożywić jeszcze raz wiersze, piosenki, zarty i skecze żołnierskich teatrzyków? Byłoby to nie tylko miłe wspomnienie pięknej przeszłości dla kombatantów, teksty te mogłyby zabrzmieć w sposób interesujący także dla młodszych pokoleń. Żeby wiedzieli i pamiętali!

OUT

Zyje dużo ludzi, którzy ten tekst do brze pamiętają. Tekst i okoliczności, w jakich go usłyszeli. Ten tekst i okoliczności na pewno budzą w nich wspomnienia, przesycone głębokim wzruszeniem.

Niedawno ukazał się numer specjalny „Materiałów repertuarowych” z okazji XX-lecia Wojska Polskiego. W numerze tym znajduje się m. in. szczególnie ciekawa, źródłowa praca Jerzego Waldena, jednego ze współtwórców teatru 1-cj Armii, przynosząca dość bogatą antologię tekstów, jakie wchodziły w różnych okresach do repertuaru żołnierskiego.

Tekst przytoczony wyszedł spod pióra znakomitego poety, Adama Ważyka, a stanowił fragment jego sztuki — poetyckiego montażu pt. „Nocleg”. Sztuka ta po raz pierwszy była wystawiona